Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 41 (1829) • 10–16 października 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Antysemici i onuce

str. 3



SZYMON WYCHODZI Z POLITYKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl b28e03b806

WOJNA DOMOWA

Dobra wiadomość jest taka, że Nina Ptak, Ewa Jasiewicz, Omar Faris i Franciszek Sterczewski tydzień po porwaniu przez Izrael na wodach międzynarodowych wrócili do kraju i wygląda na to, że nie byli potraktowani z okrucieństwem, tylko raczej z małpią złośliwością. Doprawdy trudno nam pojąć, jaki cel izraelskie wojsko planowało osiągnąć, w kółko puszczając więźniom muzykę z propagandowych izraelskich filmów. Liczyło na to, że tak się zakochają w żydowskiej kulturze, że przestanie im przeszkadzać wymordowanie 67 tys. cywilów? To pokazuje, że wielkie zbrodnie nie eliminują w zbrodniarzach ochoty na gówniarskie podsrywanie.

Jednak w tym akurat epizodzie izraelskiego ludobójstwa uwagę zwraca co innego: kompletne bankructwo moralne polskiego rządu generalnie, a wicepremiera Sikorskiego w szczególności. Po porwaniu polskiej delegacji – w tym posła z partii, która uczyniła Sikorskiego wicepremierem – szef polskiego MSZ orzekł, iż „nie ma zakładników na wymianę" i że jego ministerstwo „wielokrotnie apelowało, aby w pewne rejony świata nie podróżować". Podróżować?! Serio? Tak wicepremier rządu RP widzi udział w misji humanitarnej mającej na celu przełamanie blokady, która powoduje, że dzieci umierają z głodu? Zaś wisienką na torcie była podana przez szefa MSZ na konferencji prasowej informacja, że porwani polscy obywatele „spałaszowali kanapki". Radziu, a ile ty masz lat, chłopczyku? A może byś tak zostawił dyplomację dorosłym?

W przyszłym tygodniu lewica i ludowcy mają ujawnić wypracowany wspólnie projekt ustawy o związkach partnerskich, a może o osobie najbliższej. W projekcie będzie zapis o zawieraniu związków w urzędach stanu cywilnego, a może u notariusza, a klub PSL może za nim zagłosuje, a może nie. Ale, jak uspokaja nieoceniona Anna Maria Żukowska, rozwiązanie „będzie się nazywać tak, śmak, obojętnie jak", ważne, że „będzie dawać szansę na to, że państwo uznaje kogoś za związek". Generalnie jesteśmy skłonni się zgodzić: w trzeciej dekadzie XXI w. w Unii Europejskiej wypadłoby przyjąć jakąkolwiek ustawę w tej sprawie, choćby najbardziej ułomną, na zasadzie nogi w drzwiach. Ale szefowej Klubu Parlamentarnego Lewicy (o tempora, o mores!) sugerowalibyśmy nieco mniej dezynwoltury w podejściu do tematu. Dla wielu osób od dekad czekających na równość małżeńską to, czy ich związek będzie się nazywać tak, czy śmak nie podpada pod kategorię „obojętnie jak".

A skoro już jesteśmy przy Annie Marii – bo dawno jej u nas nie było, co składamy na karb tendencji do odwracania oczu od bolesnych widoków – została zapytana o biedę, która stała się ostatnio trendy, w związku z wypowiedzią jakiejś celebrytki, że „bieda to stan umysłu". Na pytanie, „skąd się bierze bieda", Żukowska ogłosiła: „Bieda często jest dziedziczona, często bierze się z tego, że ktoś wyrasta w środowisku defaworyzowanym, tak było w latach 90. w PGR, ale niestety nadal widzimy, że pomimo że już kilka pokoleń minęło, w tych obszarach nadal ta bieda funkcjonuje. Bieda bierze się też czasami z nieszczęść, ktoś nagle zachoruje, ktoś ma kredyt do spłacenia, bo podżyrował komuś, kogo kochał, komu ufał"… Inaczej mówiąc: bieda wynika z biedaka. Bo się źle urodził, bo nie dbał o zdrowie, bo był lekkomyślny… Mamy dla liderki lewicy rewolucyjną myśl do przemyślenia: bieda jest końcowym rezultatem procesów strukturalnych, warunkowanych relacjami władzy, kumulowanej w rękach malejącej grupy kapitalistów. Inaczej mówiąc, „w miarę jak zmniejsza się liczba magnatów kapitału, którzy uzurpują sobie i monopolizują dla siebie wszystkie korzyści procesu przemian, wzrasta zakres nędzy, uciemiężenia, niewolnictwa, degradacji i wyzysku". Zagadka dla Anny Marii: kto to powiedział? Ciiii, nie podpowiadajcie…

W związku z ustawą łańcuchową w PiS ujawniła się niezwykle poważna różnica zdań między panującym prezesem i jednym z pretendentów do tronu. Przemysław Czarnek ogłosił, że „jak jeździ na rowerze, to jest szczęśliwy, kiedy widzi psa na łańcuchu, a nie psa, który biega wolno". Prezes nie podziela tej opinii, ale jej autora nie wyklucza: „Trzeba pamiętać, że partia jest formacją, która ma swój program polityczny, ale to nie jest formacja ludzi, którzy się we wszystkim zgadzają. Sądzę, że po prostu pan profesor Czarnek woli, żeby go pies nie gonił, kiedy on jedzie na rowerze. Niemniej jednak co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości: zmieniła się epoka. Pod wieloma względami na gorsze, ale pod pewnymi też jednak na lepsze. W związku z tym należy jednak sprawę załatwić w sposób, po prostu, cywilizowany". Zawsze sądziliśmy, że Czarnek nie jest cywilizowany. Cieszy nas, że prezes podziela naszą opinię.

Jeszcze żywsza dyskusja wywiązała się wokół innego potencjalnego ograniczenia wolności. Pojawił się otóż postulat wprowadzenia prohibicji w sejmie. Inspiracja płynie z incydentu w restauracji sejmowej, kiedy posłowie PiS śpiewem uczcili zaprzysiężenie prezydenta Nawrockiego. Politycy koalicji rządzącej twierdzą, że przyśpiewki były wulgarne, a opozycja odpowiada, że bynajmniej. Brzmiała tak: „Staszek piątka, Tomek dycha, a dwudziestka dla Giertycha". Jakby ktoś się nie domyślał, chodzi o lata pierdla: pięć dla senatora KO Stanisława Gawłowskiego, 10 – dla byłego marszałka senatu Tomasza Grodzkiego, a 20 to już sami wiecie, dla kogo. Do sporu odniósł się sam Jarosław Kaczyński. „Jaruzelski zakazał w pewnym momencie alkoholu w sejmie, bo tam było straszne pijaństwo" – wspomniał prezes. „To doprowadziło do tego, że kiedy ta pierwsza ekipa solidarnościowa, do której należałem – OKP – pojawiła się w sejmie, to wódkę kupowało się w restauracji sejmowej w ten sposób, że się zamawia tonik bez kapsla. W butelce po toniku była wódka i wszyscy, nawet ja, który tak za wódką specjalnie nie przepadam, to wiedzieli". Tak dokładnie to zamawiało się „otwarty tonik" – ale poza tym potwierdzamy.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Październik 2013 r.

Świętej Flory

Kręciłem filmy do YouTube. Moja osobista cenzorka z 19 scenariuszy wykreśliła mi 12. Zostało siedem. Konstytucja zabrania cenzury. Każdy może jednak wynająć sobie prywatnego cenzora, który zapobiega cenzurze internetowej naciskanej przez cenzurę państwową zakotwiczoną w ustawach. U nas za socjalizmu cenzura była jedna i dla twórców darmowa.

Świętego Brunona

PiS chce, żeby w kraju, w którym dzieci są idealizowane, kobiety przymusowo rodziły potworki. W sklepach z zabawkami nie można jednak dostać lalek z Downem, wodogłowiem, garbem, zajęczą wargą itp. A przecież dziewczynki od przedszkola zaprawiać się powinny w niańczeniu kalek, żywych trupów i innych maszkar, bo jak dorosną, mają je rodzić i kochać.

Świętego Serża

Z okazji kolejnego upadku tygodnika „Przekrój" wydawca wydał wielkie przyjęcie w Pałacu Kultury w Warszawie. Pałac ten, choć uchodzi za duży, nie mógł pomieścić gości radujących się ze zgonu. Gdyby tylu ludzi cieszyło się „Przekrojem", co jego śmiercią, nie byłoby okazji do stypy.

Kilkanaście lat temu w Zamku Ujazdowskim w Warszawie odbyło się wystawne przyjęcie z okazji uruchomienia nowego tygodnika. Wkrótce po bankiecie tygodnik padł. Nie pamiętam, jak się nazywał. Świetnie za to pamiętam, czym i kim raczono gości.

Świętej Pelagii

Przed II wojną światową, czyli w II RP, w warszawskiej kawiarni Ziemiańska zbierali się pisarze-semici i artyści-filosemici. Ironicznie mówili i pisali, że wszystkiemu złu są winni Żydzi i cykliści. Teraz na cześć Żydów buduje się wielkie muzeum z prof. Śpiewakiem na czele. Przyszedł więc czas na uwznioślenie cyklistów. Tusk powołał urząd rządowego pełnomocnika ds. rowerów. Biurokracja wspięła się na oblodzony szczyt idiotyzmu. W PRL uważałem się za tzw. państwowca. Teraz chętnie zapisałbym się do anarchistów.

Kiedy chodziłem do szkoły, zdarzało mi się jeździć na rowerze. Utrapieniem było to, że łańcuch napędowy wciąż spadał. Przydałby mi się wtedy minister biegnący za mną i nakładający łańcuch na kółka zębate. Może dla oszczędności prof. Śpiewak oprócz Żydów objąłby też cyklistów?

Świętego Denisa

Nie zawsze masy rozumieją, co, kto, przez co chce powiedzieć. Będę więc służył jako tłumacz z polskiego na polski.

Jeżeli kobieta w łóżku mówi: „byłeś cudowny, wspaniały. Z nikim nie było mi tak dobrze", to znaczy, że, cipopopaprańcu, chce cię pocieszyć.

Jeżeli Zychowicz w książce „Obłęd 44" pisze, że za okupacji bandy Żydów kryjące się po lasach wraz z bolszewikami rabowały chłopów, to wyjaśnia nam, że Żyd, którego nie zagazowano, powinien dobrowolnie zdechnąć z głodu.

Prof. Jan Hartman przyciąga masy do palikotowców, pisząc w „Polityce": „Strzały na wyspie Utoya żądały bolesnej realności w naszym odcieleśnionym świecie. Krew ofiar zmyła na chwilę naszą nietzscheańską winę: wielką Miłość. Ofiarne dzieci Molocha nie miały gdzie się skryć. Zaiste na lodowej pustyni hiperborejczyków nie ma kryjówek".

Po polsku: jak ci puszczą juchę, to poczujesz się menem.

„Gazeta Polska". Pani Grzybowska twierdzi, że zainteresowanie Polski Unią będzie słabnąć, gdy skończy się napływ unijnych pieniędzy. Czyli: Polska jest kurwą, jej spółkowanie musi być płatne.

Szef światowego katolickiego Kościoła jest przeciw światowości. A knuje światową ekspansję. Chce łapać owce z Trzeciego Świata, płacąc rezygnacją z dworskiego rytuału.

Nazbieram tego na duży słownik.

Świętego Gislana

Prezydent szykuje ustawę stanowiącą, że cząstkę wydatków samorządów przegłosowują mieszkańcy. Gówno z tego wyjdzie. U nas w Konstancinie k. Warszawy gmina nabyła wystawne ławki do parku po 3,5 tys. sztuka, podczas gdy zwykłą ławkę można nabyć za 100 zł. Jeżeli ławek jest np. 30, to wydano na nie 105 tys. zł. Za te pieniądze można wyremontować jedno mieszkanie komunalne, co stanowiłoby wydatek bardziej pożyteczny. Jednak te ławki zobaczyli wszyscy wyborcy i mogli się zachwycić. Odnowione mieszkanie obejrzałoby zaś kilka osób. Takaż kalkulacja sprawia, że samorządy wydają pieniądze na pic: pomniki, deptaki, światła, stadiony, upiększenia. Głosowania mieszkańców będą wyborami między jednym a drugim picem.

Świętej Firminy

Szykuję się do kolejnej rozprawy w procesie, jaki wytoczył mi Donald Tusk. Zapijam się dzień i noc za jego zdrowie. Proces świadczy o tym, że premier bardzo go potrzebuje. Prawda, Azorku?

Świętego Firmina

Szef polskich biskupów abepe Michalik powiedział, że dzieci uwodzą księży, przez co Kościół popada w kłopoty związane z pedofilią. Słuszne spostrzeżenie. Wpierw dzieci tulą lalki i pluszowe misie, ssąc smoczki, a gdy dorosną, przychodzi im ochota na coś większego. Ksiądz przyjemnie pachnie alkoholem, ma dużo słodyczy w głosie i szufladzie, a czasem penisa mniej używanego niż inni mężczyźni. Sutanna to zaś kurtyna zasłaniająca tajemnice wiary. Ksiądz obiecuje więcej niż cywilny dzieciojeb machający 50-złotowym banknotem. Już za zwykłe ciągnięcie druta ofiarowuje wieczne zbawienie. Ksiądz umysłowo mało różni się od dziecka, ale pod innymi względami bardzo. Władcy bachorów – tatuś i mamusia – klękają przed kochankiem ich synków. To imponuje. Jak, proszę Michalika, ustrzec wielebnych księży przed czyhającą na nich perfidną dziatwą? Nasuwa się myśl o zapobiegawczych skrobankach.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Portal **fronda.pl** przypomina, że burak to naturalny afrodyzjak. Oczywiście dla osób ceniących w seksie różowy mocz.
- **Radio Maryja** przypomina o sezonowej wymianie opon. Bzdura, do tej pory wystarczał obrazek świętego Krzysztofa.
- **Viktor Orbán** powiedział, że Unia Europejska się rozpada. Krzysztof Jackowski Węgrom rośnie.
- **Asteroida 2025 TF** minęła Ziemię zaledwie o 430 km. Nikogo to nie obeszło, bo wszyscy akurat byli znawcami Chopina, a nie kosmosu.
- **Fundacja Sprzymierzeni z GROM** stanęła w obronie saszetek nikotynowych. Czy te saszetki są w biało-czerwonych barwach?
- **Karol Nawrocki** zjadł kebaba z uczniami w Wolanowie. My tym kebabem otwieramy oczy wszystkim niedowiarkom.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Przekroczona granica

Parę dni temu Jan Hartman nazwał misję humanitarną „nazistowską akcją propagandową". (…) fantazjował o tym, co z polskim posłem zrobią Palestyńczycy zamknięci razem z nim w izraelskim więzieniu. (…) Na facebookowej stronie „NIE" pojawił się post krytykujący Hartmana, ale jednocześnie informujący, że gazeta nie zamierza kończyć z nim współpracy ze względu na poszanowanie wolności słowa. Niestety, owa wolność słowa staje się w dzisiejszych czasach przykrywką dla najobrzydliwszych i najbardziej zakłamanych poglądów. Teraz każdy kretyn może mówić, że komory gazowe są fałszem albo że wszyscy z 60 tysięcy ludzi zamordowanych w strefie Gazy byli terrorystami pracującymi dla Hamasu. I proszę bardzo, niech sobie każdy mówi, co chce. Jednak ja jako czytelnik nie życzę sobie, by ktoś popierający izraelskie ludobójstwo był drukowany na łamach „NIE". Jesteście tytułem, który na piedestale stawia prawa człowieka oraz obronę najsłabszych. Drukowanie Hartmana podważa niestety wasze przywiązanie do tych wartości. Wyrzucenie go z pracy nie zostałoby przeze mnie oraz przez resztę czytelników potraktowane jako „sygnalizowanie cnoty". Byłoby pokazaniem, że szanuje się swoje wartości.

Pozdrawiam
JAKUB G., BIELSKO-BIAŁA

Wskrzesić Pana Prezydęta!

Bardzo dobrze, że w numerze jubileuszowym przypomnieliście o słynnej rubryce, która kiedyś robiła w „NIE" furorę – „Pan Prezydęt powiedział". I tak sobie myślę, że może warto by było ją wskrzesić. (…) Nieporadność w wypowiedziach, jaką cechował się Wałęsa, była legendarna, ale (…) mam przeczucie, że Nawrocki go przebije.

MAREK M., WARSZAWA

eprasa.pl b28e03b806

Ani grosza, ani sztuki broni, ani jednego ludzkiego życia…

Antysemici i onuce



Zdjęcia AWL

Dopiero w Paryżu na konferencji antywojennej z udziałem delegacji z 19 krajów (polską stanowiłam ja) zrozumiałam, jak głęboko toksyczna polskość wżarła się w mój mózg. Kiedy aktywiści antywojenni z Ukrainy i Rosji wzywali do solidarności z dezerterami – moja pierwsza reakcja brzmiała: jak to? Popierać dezerterów? Tfu! Co jak na uczestnika imprezy pod tytułem „Ani grosza, ani sztuki broni, ani jednego ludzkiego życia na wojnę" było – przyznacie – reakcją dość bezmyślną. Tak działa indoktrynacja.

Imprezę – dwudniową konferencję zwieńczoną wiecem na 4,5 tys. ludzi – firmował Jérôme Legavre, poseł Niezależnej Partii Robotniczej, będącej częścią koalicji La France Insoumise (w zeszłym roku opublikowaliśmy wywiad z nim, „NIE", nr 46/2024). Zarówno konferencja, jak i wiec w dość naturalny sposób skupiały się na izraelskim ludobójstwie – dla lewicy we Francji i generalnie w zachodniej Europie jest to dziś temat najważniejszy – ale znalazło się też miejsce na dyskusję o wojnie rosyjsko-ukraińskiej. To zresztą główny przekaz dzisiejszego lewicowego ruchu antywojennego:

Palestyna, Ukraina, Sudan – to wszystko element tej samej wojny, wytoczonej światu pracy przez imperializm w służbie kapitału. I tak, wiem, że to brzmi jak nagłówek z „Trybuny Ludu" za Gomułki – ale jest to również prawda.

Bantustan

Jej zrozumienie pozwala na zupełnie nietypowe sojusze. Na scenie obok siebie wystąpiły: Mahaseen Ned El Hadi, palestyńska działaczka związkowa, i Orly Noy, izraelska dziennikarka, szefowa rady organizacji na rzecz praw człowieka B'Tselem. A także Andrej Konowałow, ukraiński działacz stowarzyszenia Post-Soviet Left zrzeszającego lewicowych emigrantów z krajów postradzieckich, i rosyjska aktywistka Liza Smirnowa – sygnatariusze wspólnego apelu antywojennego.

Mahaseen Ned El Hadi mówiła o planie Trumpa: nikogo zapewne nie zaskoczy, że Palestyńczycy nie mają nadmiernego zaufania do „planu pokojowego" wymyślonego ponad ich głowami, bez pytania ich o zdanie. Wśród mieszkańców Gazy i Cisjordanii (palestyńska nazwa Zachodniego Brzegu) istnieje dość zrozumiałe przekonanie, że celem działania Trumpa jest wyłącznie ochrona amerykańskich i izraelskich interesów, co oznacza dla nich „przejście od ludobójstwa poprzez bombardowania do ludobójstwa poprzez izolację": zamknięcie Palestyńczyków w „wyizolowanych bantustanach" (warto w tym miejscu wspomnieć, że mimo rasistowskich skojarzeń, jakie nadaje mu język polski, „bantustan" nie oznacza dzikiego państwa dzikich ludzi; był to element polityki południowoafrykańskiego apartheidu, polegający na zamknięciu poszczególnych grup czarnoskórej ludności w wyizolowanych rezerwatach).

Niezwykle ciekawe zauważenie – które, szczerze mówiąc, nie przyszło mi do głowy – dodała do tego Orly Noy. Otóż dlaczego jest tak, że dominujący dyskurs polityczny na Zachodzie przyjmuje bezkrytycznie żądania Izraela i Stanów, dotyczące tego, że Hamas nie może być częścią jakichkolwiek przyszłych porozumień pokojowych – ale nikomu nie przychodzi do głowy, żeby takie same żądania wysuwać wobec Netanjahu i jego zbrodniczego rządu? Jak to jest w ogóle możliwe, że reżim, który dopuścił się ludobójstwa, może być przez wspólnotę międzynarodową uważany za legalny?

Noy mówiła także o ostatniej fali uznawania państwa palestyńskiego przez kolejne zachodnie rządy: jak to możliwe, że po dwóch latach anihilacji Palestyńczyków ten stricte symboliczny gest bez praktycznego znaczenia może być przez kogokolwiek uznawany za wystarczający?

Branka i drenaż

Andrej Konowałow z Ukrainy mówił o niezwykłej brutalności, jaka towarzyszy werbunkowi – a w zasadzie brance – uprawianej przez ukraiński rząd wobec własnych obywateli.

Andrej jest z Odessy – ale nie był tam od trzech lat i wie, że jeśli wróci, stanie się mięsem armatnim, tak jak 80 tys. zabitych i 390 tys. rannych rodaków.

Ukraińcy – twierdzi Andrej – „boją się przymusowego wcielania do wojska bardziej niż rosyjskich dronów i rakiet. Armia ściga mężczyzn w wieku poborowym, jakby byli zwierzyną łowną. Poluje na nich wszędzie: w publicznym transporcie, w sklepach, w pracy, na ulicach. Nikt nie ma możliwości obrony swoich praw, udowodnienia, że z przyczyn zdrowotnych czy ze względu na przekonania nie powinien trafić na front. Za to ludzie władzy, oligarchowie, biznesmeni, którzy zarabiają na wojnie, żyją w luksusie i raczej nie obawiają się, że trafią do okopów. Jak zwykle krwią płacą biedni".

Zdaniem Konowałowa tylko w ostatnich paru miesiącach 15 tys. młodych Ukraińców, ryzykując życiem, uciekło z kraju przez zieloną granicę. Według danych ukraińskich w sumie zdezerterowało 350 tys. ukraińskich żołnierzy.

„Nie ma wątpliwości, że główna odpowiedzialność za tę katastrofę spoczywa na Władimirze Putinie. Ale chciałbym wspomnieć dwóch innych winnych, przeważnie przemilczanych. Pierwszy – to klasy rządzące krajów Zachodu, które widzą w Ukrainie kartę przetargową w swojej geopolitycznej grze, wspierały prawicowy zamach stanu na Majdanie w 2014 roku, mówią o wolności i dobrobycie, ale cynicznie wykorzystują Ukrainę jako kolonię, jako źródło dóbr naturalnych i taniej siły roboczej"… Tak sobie myślę: o jaki „kraj Zachodu" chodziło Andrejowi w tym akurat zdaniu? Jaki kraj ma szczególnie wiele na sumieniu, jeśli chodzi o import z Ukrainy taniej siły roboczej – i prezentowanie tego drenażu jako przejawu szczodrości i sąsiedzkiej przyjaźni?

I wreszcie trzeci winny to – zdaniem Konowałowa – administracja Zełenskiego i ukraińska klasa rządząca: „Dla większości Ukraińców każdy dzień wojny oznacza nowe śmierci i nowe cierpienie, ale wiele firm zarobiło krocie na zamówieniach dla wojska. Dla nich wojna jest błogosławieństwem i nie chcą, żeby się skończyła".

Z tą niechęcią, zdaniem aktywisty, wiąże się deklarowany przez Zełenskiego cel wojny: granice z 1991 r. Tymczasem według danych Międzynarodowego Instytutu Socjologii w Kijowie, 82 proc. Ukraińców jest za natychmiastowym wstrzymaniem ognia i negocjacjami – nawet jeśli oznaczałoby to koncesje wobec agresora.

Komercjalizacja śmierci

Jego towarzyszka na scenie, Liza Smirnowa z Rosji, mówiła, że reżim Putina przyjął zgoła inną, ale nie mniej bezwzględną strategię: zamiast branki jest „udoskonalenie neoliberalnej mobilizacji": kontrakty militarne, które żołnierze podpisują z armią, czynią z ubogich „zasób jednorazowego użytku"; za śmierć żołnierza rząd płaci więcej, niż żołnierz ten jako pracownik zarobiłby przez całe życie. Dla tych, którzy próbują przeciwstawiać się systemowi, są więzienia, tortury, etykieta „agenta obcego wpływu".

Zdaniem Lizy militaryzacja jest dziś środkiem utrzymania władzy – i na Wschodzie, i na Zachodzie, i w krajach globalnego Południa. Retoryka „walki o suwerenność" i „mobilizacji" w Rosji jest lustrzanym odbiciem narracji o „obronie wolności" i „zaciskaniu pasa" dominującej w Europie i USA.

Wśród rozwiązań proponowanych przez Smirnową jest jedno szczególnie miłe mojemu sercu: konfiskata i nacjonalizacja majątków beneficjentów tej wojny. Albowiem „koszt wojny musi być ponoszony przez tych, którzy ją zorganizowali i czerpali z niej zyski: elitę władzy, siły bezpieczeństwa, oligarchów, propagandystów". Jej druga propozycja – to autentyczne, przeprowadzone pod auspicjami wspólnoty międzynarodowej referenda, w których społeczności spornych terenów naprawdę będą mogły zdecydować o swoim losie. I wreszcie trzecia – może mniej nierealna, ale chyba jeszcze bardziej oburzająca z punktu widzenia prowojennej propagandy – to uczynienie 19 stycznia, będącego dziś rosyjskim dniem pamięci o bojownikach z faszyzmem i ofiarach politycznych represji, wspólnym dniem solidarności z dezerterami i objectorami. Ponieważ – jak słusznie zauważyła Liza – dziś polityczne represje dotykają przede wszystkim dezerterów. To był ten moment, kiedy musiałam zastanowić się głębiej nad moim wybrakowanym pacyfizmem i wpływem przesyconej bohaterszczyzną edukacji na młode umysły.

Wicekról do Hagi

Poza tą czwórką – reprezentującą cztery kluczowe strony dzisiejszych barykad – impreza, jak napisałoby pismo lifestylowe, skrzyła się od gwiazd. A co! My, marginalizowani lewaccy pacyfiści, też mamy swoje gwiazdy.

Na przykład Zorah Sultana – charyzmatyczna młoda członkini Izby Gmin, która wraz z Jeremym Corbynem zakłada właśnie nową brytyjską lewicę, bo stara jest naprawdę do niczego (ostatnio pojawiły się na tej drodze pewne kłody, ale wygląda na to, że uda się je ominąć). „Mówią nam, że te wojny są toczone w imię bezpieczeństwa i wolności – ale przecież wszyscy wiemy, że chodzi o władzę" – mówiła Sultana, dodając, że postawa każdego europejskiego rządu, który nie przeciwstawia się czynnie zbrodniom Izraela w Gazie, „to nie neutralność, to współwina". Tony Blair, współodpowiedzialny za wojnę w Iraku, powinien być w Hadze, zamiast zostawać nowym „kolonialnym wicekrólem Gazy" (to nawiązanie do ostatniego wicekróla Indii, lorda Mountbattena, którego arbitralna decyzja o podziale brytyjskich Indii na dwa kraje, Indie i Pakistan, spowodowała przesiedlenie 20 mln ludzi i 2 mln ofiar śmiertelnych). Sultana wezwała nie tylko do totalnego embarga na eksport broni do Izraela, ale także do zerwania stosunków ekonomicznych i dyplomatycznych, wydalenia ambasadorów, zamknięcia ambasad – w skrócie: do tego, żeby Izrael stał się międzynarodowym pariasem, jak RPA w czasie swojego apartheidu.

Sultana przypomniała też pracowników Rolls Royce'a w szkockim East Kilbride, którzy w 1974 r. odmówili naprawiania silników chilijskich bombowców, uziemiając sporą część floty Pinocheta. Co było zgrabnym nawiązaniem do innej gwiazdy konferencji: Maurizia Coppoli, przedstawiciela włoskiej organizacji Potere al Popolo („Władza dla ludu"). Coppola występował w zastępstwie Jose Niviego – rzecznika związku włoskich dokerów, którzy skutecznie zatrzymali załadunek broni dla Izraela w porcie w Genui. Nivoi nie mógł przybyć do Paryża, bo właśnie siedział w izraelskim więzieniu zgarnięty wraz z innych uczestnikami flotylli Sumud.

Coppola mówił o skoku jakościowym ruchu protestu – który był możliwy dzięki „wejściu na scenę zorganizowanej klasy robotniczej". I znów: niektórym może to zabrzmieć jak „Trybuna Ludu", nawet sprzed Gomułki – ale to prawda. I drogą do tej zmiany stało się powiązanie kwestii międzynarodowej z krajowymi sprawami pracowniczymi. Co było, trzeba przyznać, niezwykle przebiegłym pomysłem: strajkujący dokerzy mówili o solidarności z Gazą – ale także o swoim bezpieczeństwie pracy, któremu zagraża konieczność ładowania materiałów wybuchowych.

„Strajk stał się znowu instrumentem walki w rękach klasy robotniczej" – ocenił Coppola, co spotkało się ze zrozumiałym entuzjazmem sali.

Merz na szmelc

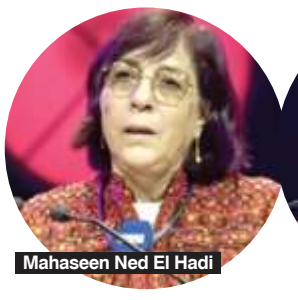
Bardzo radosną nowiną podzielił się z salą Andrej Hunko – były, a być może także obecny członek Bundestagu, reprezentujący Sojusz Sahry Wagenknecht. Być może obecny dlatego, że BSW zdobył w lutowych wyborach 4,97 proc. i nie przeszedł progu. Zabrakło mu jednak zaledwie 9,5 tys. głosów – i wiele wskazuje na to, że nieprawidłowości w liczeniu mogą dalece przekraczać tę liczbę (szerzej o tym za tydzień). Jeśli Trybunał Konstytucyjny uwzględni odwołanie BSW, będzie to oznaczało zmianę składu Bundestagu. 32 mandaty, które posłowie antywojennej lewicy w nowym układzie odebraliby obecnej koalicji rządzącej, oznaczałyby, że rząd kanclerza Merza marzącego o „najsilniejszej armii w Europie" straci większość. Biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia kontynentu (i świata) z Niemcami posiadającymi „najsilniejszą armię w Europie", nie jest to taka zła wiadomość.

„Gwiazd" było więcej – posłowie hiszpańscy, belgijscy, związkowcy, antywojenni aktywiści z USA (są tacy, serio) – ale największą owację otrzymał Stephen Kapos: 87-letni ocalały z Holokaustu, jedna z najważniejszych postaci propalestyńskich demonstracji w Wielkiej Brytanii. „W niektórych krajach europejskich porównywanie tego, co dzieje się w Gazie, do Holokaustu jest nielegalne – ale wszyscy powinniśmy to robić" – mówił Kapos. „Należę do organizacji zrzeszającej ocalałych i ich potomków. Bierzemy udział we wszystkich marszach solidarności z Gazą i zapewniam was, że to co słyszycie – że są zamknięte dla Żydów, że są antysemickie – to nieprawda".

Nie każdy Żyd jest syjonistą i apologetą izraelskiego ludobójstwa – tak samo jak nie każdy zwolennik rozmów z Rosją, nie każdy analityk wskazujący na głębokie przyczyny konfliktu rosyjsko-ukraińskiego jest agentem Putina. W większości krajów kolektywnego Zachodu istnieje lewicowy ruch antywojenny, który to wie i próbuje tłumaczyć – a jego siła rośnie, wraz z powszechnym zrozumieniem kosztów społecznych militarnego szaleństwa.

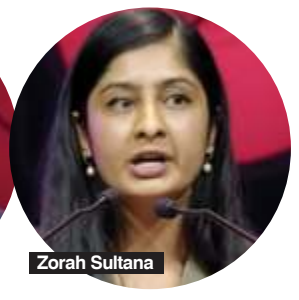
W Polsce, póki co, nie dnieje.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA


Mahaseen Ned El Hadi


Maurizio Coppola


Jerome Legavre


Zorah Sultana

eprasa.pl b28e03b806

Chora sytuacja opieki zdrowotnej nieprędko się poprawi

Po trupach do celu



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Świeża minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda ochoczo wzięła się do roboty, skutkiem czego na przełomie września i października w kierowanym przez nią resorcie nastąpiło dawno niewidziane wzmożenie aktywności. Doniesienia o kiepskiej sytuacji w rodzimej ochronie zdrowia wpisały się w polski krajobraz jak smog, ale aktualne szpagaty ministerstwa zdają się utwierdzać w przekonaniu, że zawsze może być gorzej.

Przychody i odchody

– Musimy pokazać społeczeństwu, że pieniądze ze składek nie zaspokajają potrzeb służby zdrowia. Jeżeli nie podwyższymy składki, to potrzebna jest debata o tym, skąd wziąć środki na opłacenie deficytu – wyartykułowała na antenie TVP Info minister zdrowia, który to pomysł w trybie pilnym zripostował premier Donald Tusk, zapewniając, że żadnej podwyżki nie będzie.

– Proszę traktować wypowiedź pani minister jako taki ostry sygnał, że musimy zorganizować finansowe wsparcie dla ochrony zdrowia ponad to, co w tej chwili ministerstwo i NFZ mają do dyspozycji. Będziemy bardzo precyzyjnie analizować, gdzie te wydatki można zracjonalizować, gdzie te pieniądze są marnowane, gdzie nie służą bezpośrednio zdrowiu pacjentów – pouczył i zapowiedział szef rządu, tworząc przed naiwnymi iluzję, że z gówna da się ukręcić bat. Otóż nic bardziej mylnego.

Grana do wyrzygu melodia o dziurze w budżecie NFZ weszła w fazę kulminacyjną. Wedle ostrożnych szacunków różnica między wpływami ze składki zdrowotnej a koniecznymi do poniesienia wydatkami na reperowanie Polaków wynosi ok. 50 mld zł na minusie. Dane nie są precyzyjne, bo Ministerstwo Finansów wciąż nie zaakceptowało planu finansowego NFZ na bieżący rok, choć powinno było to zrobić w roku ubiegłym. Skutkiem tego rząd rzuca co jakiś czas funduszowi ochłapy w nadziei, że jakoś to będzie, uprawiając przy okazji nieformalne kampanie społeczne mające na celu wskazanie wszystkich rzekomo winnych tego stanu rzeczy (pazernych na pieniądze lekarzy i pazernych na leczenie uchodźców), byle nie siebie.

Życie na kreskę

Z prognoz wynika, że do końca 2025 r. w zdrowotnej skarbonie zabraknie 14 mld zł, a w roku przyszłym (pomimo rekordowego budżetu 248 mld zł) – 23 mld zł. Skąd te niedobory? Z nielimitowanych świadczeń w ramach NFZ, czyli takich, za które fundusz musi zapłacić 100 proc. należności placówce niezależnie od liczby pacjentów, jaką przyjmie, choćby ta liczba była dwa razy ponad to, co zawarto w kontrakcie między lecznicą a NFZ.

W przeszłości katalog nielimitowanych interwencji medycznych zamykał się na leczeniu zawałów serca, porodach i przeszczepach narządów. Obecnie procedur medycznych wchodzących w pakiet „no limit” jest ponad 500, w tym leczenie udarów mózgu, opieka onkologiczna czy procedury w ramach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej (AOS) – takie jak kolonoskopia, gastroskopia itp. i porady specjalistów.

Limity uwolniono, żeby przynajmniej w teorii zrealizować jedną z kiełbas wyborczych i skrócić kolejki do lekarzy. Kłopot w tym, że niedopasowanie przychodów do realnych kosztów funkcjonowania systemu sprawiło, że chętnych do leczenia (no kto by się spodziewał…) było więcej niż hajsu na uregulowanie należności z usługodawcami. Placówki medyczne, żeby nie odsyłać pacjentów z kwitkiem, zwiększały własne zadłużenie, licząc na zwrot kasy od państwa. Tu się przeliczyły. Do tej pory NFZ zapłacił w 100 proc. tylko za świadczenia nielimitowane w I kwartale tego roku. To tak jakby od początku stycznia brać w osiedlowym sklepie flaszki na krechę, a we wrześniu łaskawie zwrócić pieniądze tylko za pierwsze trzy miesiące libacji.

Kitle po kosztach

Kolejną przyczyną bólu ministerialnej dupy jest tzw. ustawa podwyżkowa, czyli wynikający z ustawy mechanizm corocznej waloryzacji płac minimalnych w ochronie zdrowia (obowiązujących od 1 lipca każdego roku), oparty na iloczynie współczynników pracy (zależnych od grupy zawodowej i kwalifikacji) oraz przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce (publikowanego przez GUS).

Podwyżki wprowadzone za czasów PiS miały na celu zatrzymanie odpływu kadr medycznych z Polski (tzw. drenaż mózgów, czyli emigrację lekarzy i pielęgniarek do płynących mlekiem i miodem cywilizowanych krajów UE) oraz poprawę warunków pracy w ochronie zdrowia po fatalnym w skutkach kryzysie kadrowym w sektorze publicznym.

Co na to minister Sobierańska-Grenda? Otóż na konferencji prasowej MZ oznajmiła, że jeśli świadczenia medyczne i ustawa podwyżkowa będą realizowane na dotychczasowych warunkach, to wiadomo, że pieniędzy zabraknie – to zaś rozwiewa wszelkie wątpliwości, w których zakamarkach za oszczędnościami będzie węszył premier Tusk. A to dopiero początek mrocznej stypy. Rząd Koalicji Obywatelskiej przymierza się do ograniczenia wydatków w jeszcze jednym obszarze.

Skok na kasę

25 września Ministerstwo Zdrowia opublikowało informację o odbytym spotkaniu z rektorami uczelni medycznych. Jednym z tematów była likwidacja stażu podyplomowego. Jak wyjaśniło ministerstwo, rozwiązanie miałoby przyśpieszyć wejście młodych lekarzy do zawodu i wzmocnić system ochrony zdrowia. Srali muchy, będzie wiosna.

Wspomniany staż to obowiązkowe (póki co) przygotowanie zawodowe lekarzy i lekarzy dentystów po ukończeniu studiów, które obejmuje pogłębienie wiedzy teoretycznej i zdobycie praktycznych umiejętności leczenia w celu uzyskania pełnego prawa wykonywania zawodu. Dzięki stażowi młodzi medycy biorą udział w pierwszych operacjach, uczą się prowadzić dokumentację i zyskują większą niż na studiach możliwość pracy z żywym materiałem ludzkim. Jest jednak pewien haczyk: staż trwa minimum 12 miesięcy i jest odbywany na podstawie umowy o pracę, w dodatku pod nadzorem doświadczonych lekarzy specjalistów. To generuje koszty i to niemałe.

Lekarz stażysta otrzymuje wynagrodzenie zasadnicze zgodne z ustawą o minimalnych wynagrodzeniach w ochronie zdrowia. W 2024/2025 r. taka pensja plasowała się w widełkach 5800–6500 zł brutto. Po uwzględnieniu składek ZUS, podatków i innych kosztów pracodawcy (tzw. klin podatkowy), koszt dla szpitala wynosi ok. 90–100 tys. zł rocznie na jednego stażystę. Wynagrodzenie jest pokrywane z budżetu państwa. Do tego dodatek dla lekarza prowadzącego żółtodzioba, zapewnienie infrastruktury szpitalnej, szkoleń, certyfikacja i egzaminy, wreszcie koordynacja programu przez Ministerstwo Zdrowia i wojewódzkie oddziały NFZ – a kasa leci.

Na domiar złego stażysta wykonuje ograniczony zakres procedur, co oznacza, że jego usługi generują mniejszy przychód dla szpitala w porównaniu do pełnoprawnego lekarza. Ta „utracona korzyść” jest wliczona w koszt systemowy i wiewiórki donoszą, że szacuje się go na ok. 20 tys. zł rocznie.

Przeciwko zakusom Ministerstwa Zdrowia zaprotestowało Porozumienie Rezydentów, ale jeszcze nie wiadomo z jakim skutkiem.

Jedno jest pewne, managerskie próby resuscytacji zdrowotnego bankruta odczujemy wszyscy.

IDALIA DUBICKA

GADMAN

Z Tuskiem i Kaczyńskim ani bomby, ani władzy mieć nie będą.

Kiedy powstawała III Rzeczpospolita, Jerzy Giedroyć stwierdził, że Polską rządzą nie partie polityczne, lecz trumny Piłsudskiego i Dmowskiego. Dziś polityką polską rządzą polityczne truchła Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego – liderów największych wojujących ze sobą formacji politycznych. Polityków nadal żywych, ale liderów rankingów w kategorii „komu Polacy rychłej śmierci życzą”. Polityków nadal czynnych, choć wielokrotnie już odsyłanych na polityczne emerytury. Zwłaszcza przez ich partyjnych kolegów.

Tusk musi odejść

„Donald Tusk jest jednym z najbardziej profesjonalnych i doświadczonych polskich polityków. Stał na czele rządu, na czele Rady Europejskiej i na czele Europejskiej Partii Ludowej. W Polsce nie ma drugiego tak doświadczonego polityka, obeznanego nie tylko z realiami rządzenia, ale również z mechanizmami działającymi w Unii Europejskiej” – taką laurkę pisze mu w „Rzeczpospolitej” znany politolog profesor Kazimierz Kik. I zaraz potem, jak rasowy profesor, uzasadnia powody nieuchronnego końca politycznej kariery Donalda Tuska: „Rzecz w tym, że jest on przedstawicielem pewnej fali, która w Europie opada”.

Donald Tusk należy do nurtu, który do niedawna dominował w Europie. Partii chadeckich, demokratycznych, do których nadal należy Platforma Obywatelska. W wielu państwach Unii Europejskiej, a przede wszystkim w Parlamencie Europejskim, przez wiele lat rządzili chadecy z socjalistami. Oni nadawali ton wszelkim działaniom oraz dzielili między siebie stanowiska. Gdy okazało się, że fala populizmu dociera już do Parlamentu Europejskiego i te tradycyjne partie tracą na znaczeniu, to dobrały sobie do rządzenia liberałów. Później jeszcze potrzebowano Zielonych, żeby utrzymać tam większość, i ta czwórka ostatnio rządzi.

Wydawało się, że te cztery frakcje wystarczą do utrzymania władzy

Nieprzyzwoite słowo „Lenino”

Przypominamy rocznicę, o której IPN każe zapomnieć



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Systematyczna walka prawicowych historyków z żołnierzami Wojska Polskiego, którzy nie zdążyli do armii gen. Władysława Andersa, przynosi wymierne skutki. Dziś zostali już skutecznie wyparci ze świadomości narodowej. Tym bardziej warto przypominać bitwę pod Lenino z 12–14 października 1943 r.

Namiastka polskich tradycji

W Polsce Ludowej rocznica bitwy pod Lenino była czczona w sposób szczególny. Miała symbolizować polsko-radzieckie braterstwo broni, co miało w dużej mierze charakter propagandowy. Fakt, iż zarówno przebieg bitwy, jak i radzieckie dowodzenie pozostawiały wiele do życzenia, był starannie przemilczany. Za to od 1989 r. państwo polskie konsekwentnie wymazuje historię Wojska Polskiego walczącego na froncie wschodnim podczas II wojny światowej, czyniąc z niego synonim zdrady i serwilizmu.

Zdecydowana większość żołnierzy walczących pod Lenino to zesłańcy, którzy dostali szansę wyrwania się z nieludzkiej ziemi; część pochodziła z terenów zajętych przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r. Cena miała być wysoka, ale nagroda – powrót do Polski – była tego warta. Czy mogli zachować się inaczej? Ci historycy, którzy dziś snują taką wizję, nie doświadczyli wieloletniej gehenny, jaką przechodzili żołnierze Berlinga.

Determinował ich gorący patriotyzm, chęć walki z Niemcami i pragnienie powrotu do kraju. Czarna legenda tej armii, uprawiana przez IPN, ma się nijak do rzeczywistości. Flaga była biało-czerwona, hymn odgrywany na apelach był polski, obchodzono święta religijne, żołnierską przysięgę składano z dodaniem „Tak mi dopomóż Bóg”. W 1. Dywizji Piechoty byli kapelani. W pamięci żołnierzy szczególnie zapisał się ksiądz Wilhelm Kubsz w stopniu majora, bardzo oddany polskiej sprawie, bliski żołnierzom towarzysz ich niedoli. Był kapelanem Wojska Polskiego w ZSRR.

Błędy dowodzenia

Dowódca polskiej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, wchodzącej w skład 33. Armii, gen. Zygmunt Berling jako zawodowy oficer zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jego żołnierze nie są przygotowani do walki. Odmowa nie wchodziła jednak w grę ze względów politycznych.

Błędy radzieckiego dowództwa było widać już na początku natarcia. Zakładano bowiem, że Niemcy są już praktycznie pobici i nie dysponują wielkimi siłami. Artyleryjska nawała, która miała trwać 100 minut, ostatecznie trwała tylko minut 40. Były też przypadki dezercji po polskiej stronie: ponad 20 żołnierzy 1. Dywizji przedostało się na stronę niemiecką, uprzedzając o ataku. Radzieckie wojska często pozostawały w tyle za polskimi, co pozostawiało kościuszkowców bez osłony. Żołnierze poruszali się jak na szkoleniach, nie jak na froncie. To nie symbol polskiej lekkomyślności, ale braku doświadczenia i przeszkolenia. Straty rosły z każdą godziną. Na domiar złego ciężki sprzęt grzązł w błocie. Dochodziły do tego błędy czysto organizacyjne: brakowało żywności, środków dowodzenia, zaopatrzenie było katastrofalne. Zygmunt Berling napisze po latach we wspomnieniach, iż były to działania celowe, oskarży sojuszników o bezczynność i ogromne błędy w dowodzeniu. 14 października polska jednostka została wycofana do drugiego rzutu 33. Armii.

Danina krwi

Dywizja miała mniej więcej jedną czwartą potrzebnej kadry oficerskiej. Braki polskich oficerów zasilane były rzeczywiście przez kadrę oficerską Ar-

eprasa.pl b28e03b806

Kiedy liderzy odchodzą

w Unii Europejskiej. Tyle że populiści nadal rosną w siłę. Ich celem jest zdobycie 30 proc. miejsc w Parlamencie Europejskim, czyli zdobycie tzw. mniejszości blokującej. W tej chwili już ponad 25 proc. składu Parlamentu Europejskiego stanowią partie populistyczne.

Donald Tusk musi odejść, bo reprezentuje partie broniące neoliberalnych mechanizmów gospodarowania. Ideologię, style rządzenia, które – zdaniem profesora Kika – kończą się w Unii Europejskiej i na całym świecie. Na całym naszym globie pojawił się nowy podział polityczny, który doprowadził do nowego układu sił politycznych i partyjnych.

Ugrupowania liberalne i neoliberalne, do których należy tuskowa Platforma Obywatelska, są przez wyborców postrzegane jako establishment. Przeciwko któremu społeczeństwa buntują się i ten bunt zasila rosnącą falę populizmu.

„Nie jest powiedziane, że fala populizmu nadal będzie rosła. Przyszły rok będzie decydujący. Wtedy będziemy po wyborach we Francji i w Niemczech, i zobaczymy, co się w tych krajach wydarzy. Ale ogólnie na miejscu Tuska byłbym pesymistą. W Wielkiej Brytanii – też populiści zaczynają rosnąć w siłę. To samo mamy w Stanach Zjednoczonych. Tyle że w Stanach rolę populisty odgrywa miliarder, zatem przedstawiciel elit. Takie to mało autentyczne. Zresztą nieautentyczność w polityce jest problemem i u nas. PiS reprezentuje tę ludową falę, a Tusk tę elitarną” – spekuluje profesor Kik.

I tak wieszczy: „Skoro biedniejsi wyborcy są przy PiS, a nie przy PO, a w Polsce narastają nierówności, czyli postępuje ubożenie obywateli, to odpowiedź jest oczywista – większe szanse na zwycięstwo wyborcze za dwa lata ma PiS, a nie PO. Donald Tusk ma dzisiaj poparcie na poziomie 27 procent, ale będzie gorzej, dlatego że w Polsce będzie gorzej”.

Kaczyński musi odejść

Prezes Kaczyński stracił w 2023 r. władzę w Polsce, ale nie stracił swej partii. Ukochanej przez niego ponad wszystko. Prezes skutecznie oszukał polskie media i wyborców, wmawiając im, że Zjednoczona Prawica nie reprezentuje polskich elit, milionerów, lecz jedynie swojaków Polaków, lud polski przez kosmopolityczne elity wyzyskiwany i pogardzany.

Podobnie tak od lat okłamują Polaków biskupi polskiego Kościoła katolickiego. Nic dziwnego, że ci biskupi zawarli z politykami Zjednoczonej Prawicy sojusz tronu i kropidła. Obie elitarne formacje wspierają się w utrzymywaniu swych wiernych w przekonaniu, że one w swojej działalności jedynie dbają o los biednych, chorych i sierot. A jeśli nawet coś kradną, to ukradzionym solidarnie dzielą się ze swojakami Polakami, jak to na Janosików przystało. Jeśli zaś zgrzeszą, to tylko po to, aby potem rzec: „a któż bez grzechów jest?”. I w ten sposób swojakom Polakom ich grzeszki wspaniałomyślnie odpuścić.

Zapewne prezes Kaczyński też liczy na narastającą falę populizmu, która zaniesie go po wyborach parlamentarnych w 2027 r. do władzy w państwie. Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta, choć niewielką liczbą głosów, daje nadzieję na sukces w wyborach parlamentarnych. Prezesa wzmacnia rozpad rządzącej jeszcze koalicji. Choć tuskowa Koalicja Obywatelska nadal przoduje w sondażach przedwyborczych, to notowania jego koalicjantów spadają.

Partia Polska 2050 rozsypuje się na frakcyjki skupione wokół mnożących się tam bieda-liderów. Jej szansa na sukces, pan poseł Szymon Hołownia, porzuca teraz karierę polityczną. I jeszcze jako urzędujący marszałek Sejmu RP, konstytucyjnie druga osoba w państwie, biega teraz po korytarzach biur ONZ, szukając sobie posady za granicą. I cieszy się w mediach społecznościowych, że niebawem życie jego nabierze blasku. Bo porzuca to polityczne szambo.

Jest inny niż prezes Kaczyński. Ten nigdy tego polskiego szamba nie porzuci. Nawet dla wypasionej posady w ONZ. Prezes od prawie 40 lat nurza się w tym szambie i zdążył się już w nim świetnie urządzić.

Dlatego profesor Kik skupia się na wieszczeniu kresu kariery premiera Tuska. Choć „pomysły pana Kaczyńskiego są dla Polski zabójcze. Kim będziemy bez Unii Europejskiej? Polska realizująca zasadę, że wrogów ma się blisko, a przyjaciół daleko, będzie osamotniona, zostawiona pomiędzy dwoma największymi narodami, do których nie żywi najlepszych uczuć” – zauważa proeuropejski profesor Kik. I za taką szkodliwą politykę zagraniczną też odsyła prezesa Kaczyńskeigo na emeryturę.

Jak pożegnać dziadersów

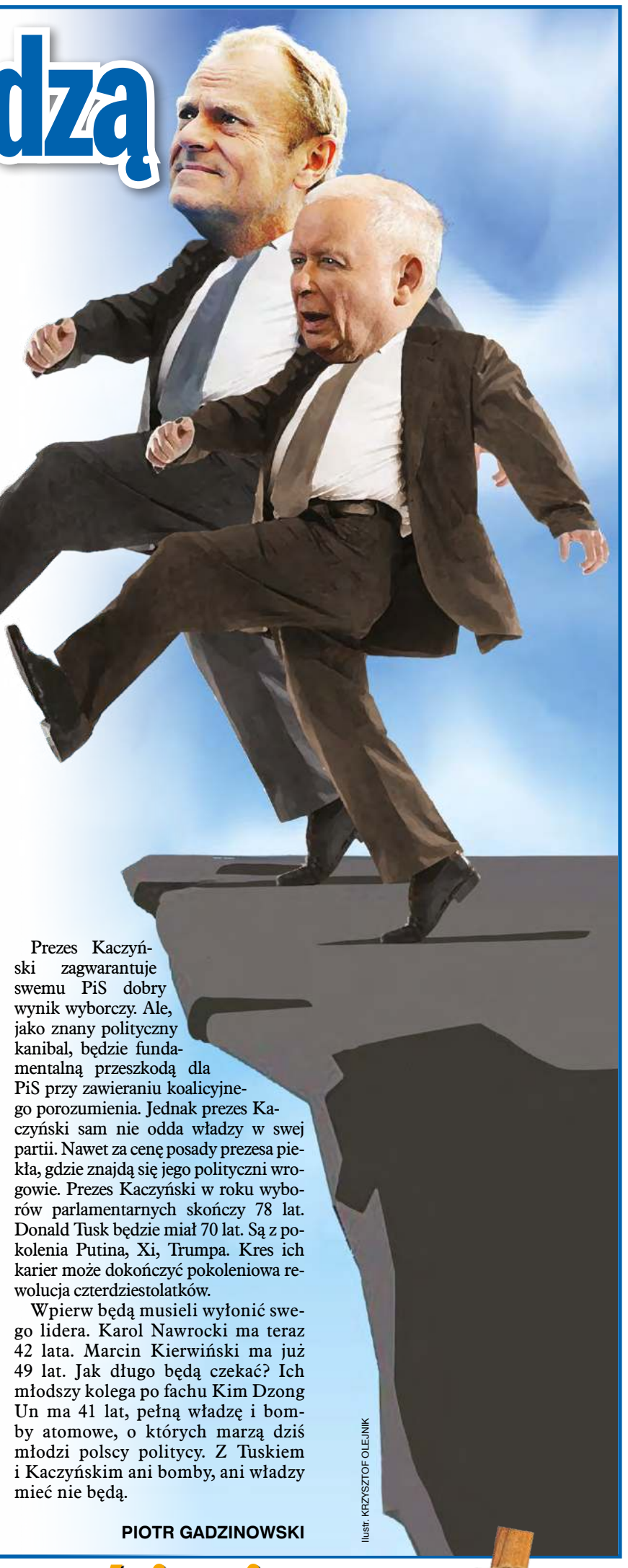
Teraz rząd Tuska pracuje na rosnące poparcie przedwyborcze Kaczyńskiego. Spada już poparcie tuskowych koalicjantów. Drugi z nich, PSL, znowu osiąga rekordowe niskie notowania. Znowu poszukuje politycznego związku partnerskiego, dzięki któremu znowu jego reprezentacja zasiądzie w sejmowych ławach. Ponieważ w koalicji trudno takiego znaleźć, tym razem może nim zostać jakaś zbuntowana grupa ze Zjednoczonej Prawicy lub Konfederacji.

Lewica parlamentarna podzieliła się na partię Razem, Nową Lewicę i niezrzeszonych Magdy Biejat. Tylko Nowa Lewica w sondażach przedwyborczych przekracza próg wyborczy. Jeśli uda się Lewicy stworzyć wspólną listę jak w 2023 r., to ma szansę na opozycyjny byt. Gromki, niezłomny, choć mało skuteczny.

Zapewne w wyborach parlamentarnych tuskowa KO i kaczyńska Zjednoczona Prawica osiągną podobne wyniki. Prawie wygrają wybory. Ale by mieć władzę, będą musiały poszukać sobie koalicjantów.

Premier Tusk swymi dwuletnimi rządami dowiódł, że jest szefem, a reszta ministrów to jego podwładni. Wspólna władza, podobnie jak dzieci w małżeństwie, chroni koalicjantów przed szybkimi rozwodami. Dlatego ta koalicja dotrwa pewnie do końca kadencji. Jednak kiedy zacznie się kampania wyborcza, najbardziej popularna Koalicja Obywatelska może spróbować wchłonąć Polskę 2050. A PSL i Lewica będą musiały zdystansować się od swego politycznego Wielkiego Brata. I wtedy może okazać się, że Donald Tusk jako partyjny lider zagwarantuje KO dobry wynik w wyborach parlamentarnych, ale będzie przeszkodą przy zawieraniu ewentualnego koalicyjnego porozumienia. I wtedy będzie musiał odejść.

Może się też zdarzyć, że premier Tusk stanie się tak niepopularny, że jako lider KO obniży przedwyborcze szanse swej partii. I będzie musiał ogłosić swe odejście jeszcze przed parlamentarnymi wyborami.



Prezes Kaczyński zagwarantuje swemu PiS dobry wynik wyborczy. Ale, jako znany polityczny kanibal, będzie fundamentalną przeszkodą dla PiS przy zawieraniu koalicyjnego porozumienia. Jednak prezes Kaczyński sam nie odda władzy w swej partii. Nawet za cenę posady prezesa piekła, gdzie znajdą się jego polityczni wrogowie. Prezes Kaczyński w roku wyborów parlamentarnych skończy 78 lat. Donald Tusk będzie miał 70 lat. Są z pokolenia Putina, Xi, Trumpa. Kres ich karier może dokończyć pokoleniowa rewolucja czterdziestolatków.

Wpierw będą musieli wyłonić swego lidera. Karol Nawrocki ma teraz 42 lata. Marcin Kierwiński ma już 49 lat. Jak długo będą czekać? Ich młodszy kolega po fachu Kim Dzong Un ma 41 lat, pełną władzę i bomby atomowe, o których marzą dziś młodzi polscy politycy. Z Tuskiem i Kaczyńskim ani bomby, ani władzy mieć nie będą.

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

mii Czerwonej – ale oficerowie ci nosili polskie mundury, starali się mówić po polsku. Często mieli polskie korzenie, byli potomkami zesłańców. Uzupełnianie braków było zaś koniecznością. Zresztą dla wielu polskich podoficerów ta sytuacja stanowiła szansę na szybki awans. Wszyscy oni byli Polakami: z Wileńszczyzny, Podola, Stanisławowa, Polesia.

Jednak obecność radzieckich oficerów i zawiłości polityczne nie mogą przekreślić przelanej polskiej krwi. Ta historyczna bitwa kosztowała życie 510 kościuszkowców, 652 zaginęło bez wieści, a 116 dostało się do niewoli. 23,7 proc. stanu osobowego!

Polacy wykazali się męstwem i wielką walecznością, zadali Niemcom duże straty – ok. 1500 żołnierzy niemieckich zginęło, a 326 dostało się do niewoli. To trzy razy więcej niż straty własne. Warto przy tym zauważyć, iż pierwszy i ostatni raz w tej wojnie władze ZSRR uhonorowały troje Polaków tytułami Bohaterów Związku Radzieckiego. Wśród odznaczonych była kobieta. Czy ci żołnierze, przeważnie prości chłopi, nieśli na bagnetach komunizm? Zdecydowana większość z nich nie wiedziała, czym on w ogóle jest. Poszli do wojska, żeby walczyć ze znienawidzonym wrogiem.

Lech Kaczyński pamiętał

Nowy szef BBN prof. Sławomir Cenckiewicz podkreśla, iż „żołnierze 1. i 2. Armii Wojska Polskiego nie są Wojskiem Polskim”, a ich szlak bojowy „nie jest częścią historii oręża polskiego”. Zupełnie inaczej myślał prezydent Lech Kaczyński i jego szef BBN Aleksander Szczygło.

W 2008 r. podczas obchodów 65. rocznicy bitwy odczytano list Lecha Kaczyńskiego, w którym prezydent wyraził uznanie dla ducha i determinacji polskich żołnierzy walczących pod Lenino, stawiając ich w gronie bohaterów, którym należy się szacunek polskiego narodu. PiS często powołuje się na spuściznę po bracie prezesa. Warto odrobić również tę lekcję.

Także Aleksander Szczygło – najpierw jako szef MON, a następnie jako szef BBN – okazywał szacunek dla bohaterstwa kościuszkowców. W 2008 r. na Białorusi osobiście złożył im hołd. Jego ocena była wyważona, jakże odmienna od tej, która dominuje w obozie „dobrej zmiany”: „W naszej historii jest miejsce dla wszystkich, dla których niepodległa Rzeczpospolita była i jest dobrem najwyższym. Dlatego w jednym szeregu należy wymieniać tych, którzy walczyli z dwoma okupantami w 1939 r., działających w konspiracji oraz idących ze Wschodu i z Zachodu”.

Podobnie zabrzmiały słowa gen. Franciszka Gągora, ówczesnego szefa Sztabu Generalnego WP: „12 października 1943 roku to jedna z ważnych dat w historii WP. Poległym w bitwie pod Lenino jesteśmy winni pamięć i szacunek na równi z wszystkimi innymi żołnierzami, którzy przelali krew, walcząc o wolną Polskę na wielu frontach II wojny światowej. Dla polskich żołnierzy walczących pod Lenino udział w tej bitwie oznaczał szansę na powrót do Ojczyzny, najkrótszą z możliwych dróg”.

Czy dziś ktokolwiek z obecnego kierownictwa MON i pałacu prezydenckiego zdecydowałby się na takie słowa? Pytanie retoryczne.

PRZEMYSŁAW PREKIEL

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na temat udziału Polaków w misji morskiej Global Sumud Flotilla powiedziano i napisano tyle głupstw, ile jest wody w Morzu Śródziemnym. Poseł Franciszek Sterczewski, który popłynął w tym proteście przeciwko izraelskiemu ludobójstwu w Gazie, został z jednej strony bohaterem, co się kulom nie kłania, a z drugiej antysemitą niemającym szacunku dla ofiar ataku Hamasu sprzed dwóch lat.

Na szczyt szczytów debilizmu w tej sprawie wspiął się europoseł z Prawa i Sprawiedliwości oraz niedoszły prezydent Warszawy Tobiasz Bocheński. W audycji „Siódmy dzień tygodnia” w Radiu Zet Bocheński najpierw zjebał Sterczewskiego, mówiąc, że „nie ma wobec niego empatii”, ponieważ „pan Sterczewski jest posłem, który żegluje po Morzu Śródziemnym, żeby zwrócić na siebie uwagę i żeby nagrywać sobie rolki do internetu, a nie po to, abyśmy mówili o Strefie Gazy. Bardzo marnie oceniam jego aktywność, jest to pajacowanie w jego wykonaniu”. A na koniec: „Czemu popłynął tam, gdzie dzieje się najgłośniejszy konflikt, a nie np. do Nigerii, gdzie chrześcijanom ścinane są głowy?”.

Powtórzmy: gdyby Sterczewski popłynął manifestować przeciwko pogromowi chrześcijan, toby nie pajacował, a Bocheński miałby wobec niego empatię.

Pisizm w najpełniejszej krasie.

eprasa.pl b28e03b806

Partia eksperymentalna

...z równie eksperymentalnym programem

Aby równowaga w świecie została zachowana, pewne wydarzenia muszą mieć charakter cykliczny – dotyczy to zarówno przyrody, jak i polskiej polityki. Tak jak przyzwyczajeni jesteśmy do spadających jesienią liści, tak nie dziwią nas już (a przynajmniej nie powinny) happeningi Grzegorza Brauna w sejmie, obietnice Platformy, że jak tym razem na nią zagłosujemy, to będzie inaczej, lub powstające cyklicznie partie polityczne prezentujące się jako alternatywa dla panującego duopolu. Tym razem nowym potencjalnym wybawcą narodu polskiego ma być Wadim Tyszkiewicz, senator i wieloletni monarcha Nowej Soli.

Powstanie partii zapowiedziano kilka tygodni temu i ma być ona – nie zgadniecie – o liberalnym profilu z ambicjami wniesienia powiewu świeżości i rzecz jasna, wywrócenia stolika, przy którym w karty grają Tusk z Kaczyńskim. W wywiadzie dla Polskiego Radia zapytany o motywacje stojące za tym jakże nowatorskim pomysłem Tyszkiewicz przyznaje, że „popadł w depresję po wyborach prezydenckich" i był niesamowicie zafrasowany z jednej strony tym, cóż też może nawywijać PiS w potencjalnej koalicji z Konfederacją, a z drugiej strony – rosnącą w siłę skrajną lewicą (panie Wadimie, niech mi pan pokaże, proszę, tę skrajną lewicę, ja chętnie się tam zapiszę). W tym wywiadzie w ogóle padło wiele ciekawych stwierdzeń, jak np. to, że chcą powalczyć o część elektoratu Konfederacji, bo przecież są tacy podobni w kwestiach gospodarczych (ojojoj…), ale ogólnie to chętnie dogadają się z każdym, oby tylko nie z Kaczyńskim i nie z komunistami i socjalistami – ponawiam pytanie, gdzie są ci komuniści i socjaliści, a jednocześnie dostrzegam już tutaj próby puszczenia oczka do PSL-u.

Słusznie zapytany, czy podobnych rzeczy nie mówił przypadkiem Hołownia pięć lat temu,

Tyszkiewicz odpowiada, że różnią się od Hołowni i innych Kukizów tym, że oni są partią eksperymentalną, złożoną z samorządowców i bez lidera, bo wodzowie zawodzą swoich wyborców – i to mówi chłop, który niepodzielnie trząsł Nową Solą przez prawie 20 lat,

a przestał tylko dlatego, że wszedł do senatu, zaś do partyjnej spółki zaprosił innych kolegów monarchów: Zygmunta Frankiewicza, który rządził Gliwicami na długo, zanim się urodziłam (a przestał w 2019 r. jak Tyszkiewicz), oraz Andrzeja Dziubę, który ma za sobą ponad 20-letnie panowanie w Tychach. No, już ja, panowie, widzę wasze zamiłowanie do demokracji.

Deklaracja programowa partii Tyszkiewicza to groch z kapustą – dosłownie wygląda to tak, jakby otworzył program wyborczy kilku partii od prawa do lewa i powycinał z nich losowe (często wręcz przeciwstawne względem siebie) postulaty. Znajdziemy tutaj kilka szlagierów obecnych w programach każdego nowego neoliberalnego tworu. Mamy więc uproszczenie systemu podatkowego, zniesienie podatku Belki, jest również miejsce na typową konserwatywną ksenofobię pod postacią „selektywnej polityki migracyjnej": czyli jeśli wpuszczamy migrantów, to tylko z krajów bliskich kulturowo Polsce. Zastanawiam się, jak wygląda wykres Tyszkiewicza wskazujący, którzy migranci są nam bliscy kulturowo, a którzy już nie, i czy faktycznie chodzi tutaj o podobieństwo kulturowe, czy o odcień skóry. Podejrzewam, że niekoniecznie się w ogóle nad tym zastanawiał, a pomysł ten spełnia funkcję przynęty na umiarkowanie konserwatywny elektorat Konfederacji – umiarkowanie, bo przecież twardy elektorat nawet tych „bliskich kulturowo" imigrantów sobie nie życzy.

Z drugiej strony mamy kilka naprawdę sympatycznych propozycji, do których można byłoby nawet entuzjastycznie podejść, jak np. ograniczenie nadużywania umowy b2b. Widnieje tam również coś na kształt podatku katastralnego czy przeznaczanie gruntów skarbu państwa pod lokale TBS (towarzystwa budownictwa społecznego). Już widzę, jak godzą się na podatek katastralny konfederaci, do których Tyszkiewicz tak pięknie się uśmiecha, a którzy najchętniej znieśliby wszelkie podatki i dostają apopleksji na samą myśl o jakichkolwiek dobrach wspólnych – bez znaczenia, czy to lokale komunalne, darmowe obiady w szkołach czy podpaski w damskich toaletach publicznych.

Ciekawa jest również wizja Nowej Polski, jeśli chodzi o edukację – na pierwszy rzut oka widać, że ta część deklaracji nie została skonsultowana z żadnym nauczycielem czy ogólnie pracownikiem oświaty, bo osobny artykuł można byłoby napisać na temat wszystkich absurdów, na które można się tam natknąć. Ogólnie Tyszkiewicz i jego koledzy jak typowi samorządowcy wychodzą z założenia, że jak się coś zdecentralizuje i przerzuci odpowiedzialność na niższe szczeble, to wszystko będzie doskonale śmigać. Tymczasem liberałowie naprawdę zrobią z sektorem edukacji wszystko, aby tylko nie dać nauczycielom więcej pieniędzy. Nowa Polska na przykład wymyśliła kontrakty, które miałyby zachęcić młodych do podjęcia pracy w szkole, ale nikt nie powiedział, w jaki to niby sposób ma kogokolwiek zachęcić i w czym takie rozwiązanie jest lepsze od karty nauczyciela.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mam nieodparte wrażenie, że ci lokalni bohaterowie w stylu Litewki, Biedronia czy Tyszkiewicza tkwią w dość dziecinnym przekonaniu, że skoro postawili na nogi jakąś mieścinę, to są w stanie postąpić analogicznie z całym państwem. Nie zamierzam w żaden sposób dyskredytować sukcesów Tyszkiewicza w Nowej Soli, aczkolwiek oczywiste powinno być, że laury zdobyte w kontekście polityki lokalnej niekoniecznie przekładają się na pomyślność w skali krajowej – najlepiej udowodnił to Robert Biedroń.

Jeśli chodzi o potencjalną przyszłość Nowej Polski, to umówmy się, scenariusz Polski 2050, Nowoczesnej, Kukiz 15 czy Ruchu Palikota to jest absolutnie najlepsze, co z tą partią może się stać. Realnie jest zapewne jakaś możliwość, że przy odpowiednim politycznym marketingu z list Nowej Polski dostanie się do sejmu garstka posłów, którzy po otrzymaniu mandatu rozłożą rączki i powiedzą, że przecież są w mniejszości, więc co oni mogą, a potem – mimo żarliwych deklaracji niepodległościowych – od politycznej drobnicy przejdą do bycia przybudówką jakiejś większej partii, która z czasem ich wchłonie. Obserwując jednak poczynania Tyszkiewicza i jego ekipy z ostatnich tygodni po „zajawce" Nowej Polski i jak bardzo one nikogo nie obchodzą, możemy powoli rezerwować im miejsce na cmentarzu trzecich dróg, gdzieś między Mam Dość Marianny Schreiber a Nową Solidarnością Patryka Spalińskiego.

ANTONINA STEFFEN

Życie W DOBROBYCIE

Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej – dowód? Statystyki policyjne. Wynika z nich, że dziś kradnie się mniej niż jeszcze rok temu. I to aż o 17 proc. mniej. Od stycznia do sierpnia 2024 r. było 121,9 tys. przypadków sklepowych kradzieży. A w tym samym okresie 2025 r. – tylko 100,9 tys. Różnica – ponad 21 tys. zdarzeń. Czyli dobrobyt mamy taki, że ludzie nie muszą już wynosić ze sklepów wszystkiego, co popadnie. A jak już coś wynoszą, to głównie flaszki. Alkohol znajduje się na pierwszym miejscu najczęściej kradzionych towarów. W zeszłym roku odnotowano 46,9 tys. takich przypadków. W tym – ledwie 37,3 tys. Spadek o prawie 10 tys. I tu przypomina się klasyk kina Barei: „każdy pijak to złodziej". Tylko że w Polsce 2025 r. złodziej to coraz częściej tylko pijak. Na drugim miejscu w rankingu pożądań są artykuły spożywcze – 38,7 tys. kradzieży rok temu, a teraz 34,2 tys. Widać schabowy czy bułka to już nie taki luksus, żeby je kraść. Najwięcej akcji dzieje się w sklepach wielkopowierzchniowych. Rok temu – 98,7 tys. przypadków, teraz – 83 tys. W małych sklepach spadło z 21,4 tys. do 16,4 tys. Jak tłumaczą eksperci, wielkie sklepy kuszą bogactwem półek i poczuciem anonimowości. Ale złodziejom to poczucie coraz częściej odbiera „zaawansowana analityka obrazu", czyli monitoring, który widzi wszystko, nawet to, co kieszeń schowa. Widać też różnice regionalne. W województwie śląskim w sklepach wielkopowierzchniowych odnotowano 11,7 tys. kradzieży – rekord Polski. Zaraz za nim dolnośląskie – też prawie 11,7 tys. W małych sklepach prym wiedzie Dolny Śląsk – 2,6 tys., a Śląsk jest drugi – 2,2 tys. Na drugim biegunie mamy Pomorze – w całym województwie tylko 208 kradzieży w małych sklepach. Są i wyjątki od ogólnego trendu. W Zachodniopomorskiem liczba kradzieży w małych sklepach wzrosła o 9 proc. – z 1653 do 1805. Na Mazowszu złodzieje upodobali sobie stacje paliw – wzrost o 32 proc., ze 172 do 228 incydentów. Eksperci od ochrony twierdzą, że spadek liczby incydentów o 17 proc. w skali roku „to nie tylko statystyczna ciekawostka, ale przede wszystkim sygnał dla całej branży handlowej". Oznacza to, że ich systemy działają, kamery patrzą, a złodziej ma coraz mniejsze pole manewru. Ale być może nie tylko monitoring robi swoje. Może po prostu ludziom żyje się lepiej. W końcu jak ktoś ma za co kupić butelkę, to nie musi jej kraść. A jeśli kradnie, to dlatego, że spragniony.

GUS ogłosił jednak, że aż tak świetlanie nie mamy. Przeciętny roczny dochód gospodarstwa rolnego o średniej wielkości wynosi bowiem 63 tys. zł. Jeśli podzielić na mieszkańców gospodarstwa, to wyszłoby, że cała rodzina powinna ustawiać się w kolejce po zasiłek z opieki społecznej. Tyle że w tej statystyce jest ukryty inny smaczek. Zysk z jednego hektara przeliczeniowego to – według GUS – 5429 zł. Proste mnożenie pokazuje, że przy 100 hektarach daje to ponad pół miliona złotych rocznie. „Ale to tylko teoria" – bronią się rolnicy, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie uzna pół miliona na plusie za wynik zasługujący na współczucie. Rolnicze organizacje narzekają, że metodologia urzędu jest wadliwa, bo uwzględnia dopłaty unijne, zapasy nawozów i paliwa, a nawet produkcję w toku. „To zamrożony kapitał, a nie dochód" – tłumaczą. Problem w tym, że w każdej innej branży takie elementy też są częścią bilansów. Nikt jednak nie płacze w telewizji, że zamiast gotówki ma na stanie stal, węgiel czy tysiąc ton mrożonych pierogów. Średnia wielkość gospodarstwa w Polsce to 11,6 ha, ale już w Zachodniopomorskiem przekracza 33 ha. GUS liczy, że z takiej przeciętnej ziemi da się wycisnąć 63 tys. zł rocznie. Rolnicy kontrują, że to „statystyczna bzdura". Ciekawie brzmi przykład podany przez Oddolny Ogólnopolski Protest Rolników: ktoś ma 200 ha słabej ziemi, co w przeliczeniu daje 54 ha. Według GUS – ponad 24 tys. zł miesięcznie zysku. Według OOPR – koszty utrzymania tych 200 ha. I tak trwa ta gra liczb, w której każdy chce mieć rację.

GUS pochwalił się też nowymi danymi o pensjach. Wyszło mu, że w kwietniu 2025 r. mediana wynagrodzeń miesięcznych brutto w gospodarce narodowej wyniosła 7262 zł. Niby dobrze, bo mediana lepiej niż średnia pokazuje, ile naprawdę się zarabia. Przypomnijmy – przeciętne wynagrodzenie w tym samym miesiącu było aż o 20,6 proc. wyższe i wynosiło 9148,11 zł. Mediana to taki sprytny wskaźnik, który dzieli pracowników na dwie równe połowy – połowa zarabia mniej, połowa więcej. Dlatego na papierze wygląda uczciwiej niż średnia. Ale jest pewien problem – wszystkie te dane podaje się w kwotach brutto. A przecież od brutto trzeba odjąć składki i podatek. Dopiero wtedy wychodzi, ile naprawdę ląduje w kieszeni. I tu czar pryska. Bo mediana na rękę to już nie 7262 zł, ale 5280,41 zł. Wedle GUS „w sektorze publicznym mediana wynagrodzeń wyniosła 8651 zł, natomiast w sektorze prywatnym była równa 6549,64 zł". Kapitalizm w praktyce – państwo płaci lepiej niż prywatny biznes, choć politycy od lat powtarzają, że to pracodawcy są solą tej ziemi. Podział na płeć też pokazuje różnice. „Wartość mediany wynagrodzeń w przypadku mężczyzn wyniosła 7451 zł, natomiast wśród kobiet – 7083,20 zł". Nie dość, że gorzej, to jeszcze wciąż nierówno. Widać też, że na wysokość pensji wpływa wielkość firmy. W przedsiębiorstwach zatrudniających ponad tysiąc osób mediana wyniosła 8803,44 zł, a w tych najmniejszych – 4666 zł, czyli dokładnie tyle, ile minimalna krajowa. Mediana dająca 5280,41 zł do ręki pokazuje, że typowy pracownik wcale nie pławi się w luksusie, tylko spłaca kredyt, opłaca rachunki i liczy do pierwszego. Zaś kapitalistyczna zasada „prywatne firmy najlepiej wiedzą, jak płacić ludziom" kończy się tym, że w sektorze publicznym wciąż żyje się dostatniej niż w prywatnym.

PMI – to magiczne trzy litery, które mają dać ludziom wrażenie, że z polskim przemysłem nie jest aż tak źle. A przynajmniej, że jest „mniej źle niż wcześniej". Najnowszy odczyt wskaźnika dla września wyniósł 48 pkt. To niby lepiej niż prognozowane 47 pkt i znacznie lepiej niż dołek z czerwca poniżej 45 pkt. Ale wciąż poniżej kluczowej granicy 50 pkt, która oznacza rozwój, a nie stagnację. „Wrzesień zakończył słaby trzeci kwartał dla polskiego sektora wytwórczego" – komentują bankowi ekonomiści i zaraz dodają, że kierunek zmian jest obiecujący. Tymczasem we wrześniu „produkcja spadła piąty miesiąc z rzędu, chociaż tempo spadku było najsłabsze w tej sekwencji". Nowe zamówienia spadają od pół roku, ale „w najwolniejszym tempie od maja". Eksport też się kurczy, choć „w najwolniejszym tempie od czterech miesięcy". Zatrudnienie leci w dół siódmy raz w tym roku, lecz tym razem „tylko marginalnie". Rząd patrzy na te cyferki i cieszy się, że „spadki są mniejsze". Ekonomiści w telewizji mówią o „pozytywnym zaskoczeniu". A przemysł? Wciąż dławi się brakiem zamówień i tnie etaty. Żeby ten optymizm wyglądał jeszcze bardziej wątpliwie, wystarczy przypomnieć, że agencje ratingowe Moody's i Fitch ostatnio pokazały Polsce żółtą kartkę. Pogroziły palcem, ostrzegając, że nasza gospodarka rośnie na kredyt i na deklaracjach polityków, a nie na realnej sile przemysłu. Ale w przekazie dla obywateli ma być inaczej. Zamiast mówić, że polski przemysł wciąż spada, mówi się, że spada wolniej. Zamiast zauważyć, że nowe zamówienia wciąż maleją, podkreśla się, że tempo ich spadku było najniższe od kilku miesięcy. Magia statystyki, która ma zamienić czarne w szare i szare w jasne.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Przedsiębiorcy jakoś nie chcą się wpisać w optymistyczne narracje rządu i szykują podwyżki. Według badania BIG InfoMonitor aż 48 proc. małych firm myśli o zwiększeniu cen swoich usług i towarów. 15 proc. już to zrobiło. Najzabawniejsze jest tłumaczenie dlaczego. Bo przecież – jak powtarza rząd – robi się wszystko, żeby inflacji nie napędzać. Tymczasem firmy mówią wprost: „musimy przenosić koszty na odbiorców, aby utrzymać opłacalność". W usługach podwyżki planuje 37 proc. przedsiębiorstw. „Branża ta jest szczególnie wrażliwa na rosnące koszty pracy i energii" – piszą autorzy raportu. Nic dziwnego, że aż 57 proc. usługodawców wskazuje właśnie na wynagrodzenia jako główny powód zmian cenników, a 48 proc. dorzuca do tego rachunki za prąd i gaz. W przemyśle firmy tłumaczą się inflacją (58 proc.) i kosztami pracy (54 proc.). Handel najczęściej zasłania się komponentami (43 proc.), a transport – drożejącą energią (44 proc.) i inflacją (50 proc.). Budowlanka z kolei pokazuje palcem na materiały, które zdrożały już o 37 proc. Wychodzi więc na to, że każdy ma swoje wytłumaczenie, dlaczego podnosi ceny. A rząd ma swoje, dlaczego inflacja spada. Tyle że w sklepie czy na rachunku widzimy raczej to pierwsze.

TTJ

eprasa.pl b28e03b806

Popierajmy państwo czynem – umierajmy przed terminem.

Za długie jest życie staruszka



W petycji do Ministerstwa Zdrowia pewien obywatel apeluje, by ludziom mającym więcej niż 60 lat odciąć dostęp do alkoholu i papierosów. W petycji są nawet konkretne zapisy, „zakaz sprzedaży, spożywania, palenia i przebywania w otoczeniu osób używających alkoholu lub wyrobów nikotynowych – osób powyżej 60. roku życia", nawet uszczegółowione o „osoby chorujące oraz te, które popełniły czyn zabroniony pod wpływem alkoholu".

Wnioskodawca, zatroskany obywatel, wnosi o objęcie „osób powyżej 60. roku życia, osób chorujących oraz tych, które popełniły czyn zabroniony pod wpływem alkoholu" zakazem dostępu do używek. Argumentuje, że nikotyna i alkohol to „czynniki ryzyka wielu chorób cywilizacyjnych, które wpływają nie tylko na samych użytkowników, ale również na ich otoczenie". Cytuje raporty WHO, przywołuje dane o spadku odporności, sięga po frazy o wpływie dymu na wnuki. W jego oczach seniorzy mają przestać zatruwać siebie i otoczenie. Bo senior ma żyć długo i szczęśliwie, ale tylko w sterylnym otoczeniu moralnego zakazu.

Ministerstwo odpowiada chłodno: „rekomendujemy rezygnację, ograniczenie, całkowite wyeliminowanie". Ale główna konkluzja brzmi: „Wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu i papierosów dla osób 60+ nie jest obecnie rozważane".

Dobry emeryt to martwy emeryt – jeszcze kilka dekad temu taka sentencja wybrzmiewała z urzędniczych ust półgębkiem, ale z wyraźnym przekonaniem. W PRL senior żył krótko, niewiele kosztował. Emerytura była krótka i skromna. Do dziś wiele osób pamięta obrazek starszego pana w kufajce, z siatką po cebuli, który bardziej znikał z życia społecznego, niż miał je aktywnie kontynuować.

Dziś seniorzy otrzymali status obywateli specjalnej troski – władza wzięła ich pod swoje skrzydła nie tylko z powodów humanitarnych. Emeryt głosuje. I nie migruje. Emeryt stanowi najbardziej stabilną i przewidywalną grupę elektoratu. Może dlatego dzisiejsza Polska dla starości staje na rzęsach, oferując wachlarz usług i transferów, który sprawia, że PRL-owski staruszek przewraca się w grobie z zazdrości.

Senior XXI w. nie tylko dostaje świadczenie. Jest podmiotem aktywizacji społecznej, uczestniczy w klubach „Senior plus", jeździ do sanatoriów w ramach programów „Aktywny Senior", ćwiczy na darmowych siłowniach, uczy się obsługi smartfona na kursach komputerowych. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie pewien problem. A raczej kilka problemów.

Po pierwsze: rosną długość życia i liczba seniorów. Dzisiejszy emeryt żyje przeciętnie 18 lat i dwa miesiące po przejściu na świadczenie. W 2011 r. było to o dwa lata krócej. Kobiety – co ciekawe – umierają później, więc o niemal 3,5 roku dłużej pobierają emeryturę niż mężczyźni. Twórcy i nauczyciele potrafią być na emeryturze 25 lat. Przedsiębiorcy tylko 16. To arytmetyka nieubłagana. Więcej lat – to więcej wypłat. A każdy dodatkowy rok kosztuje drożej niż poprzedni, bo stan zdrowia się pogarsza, rosną potrzeby medyczne, pojawia się konieczność opieki długoterminowej i wsparcia społecznego.

Po drugie spada liczba dzieci. Polska osiągnęła rekordowo niską dzietność – 1,1 dziecka na kobietę. To oznacza, że w miejsce każdego pokolenia nie wchodzi następne – system nie odtwarza się biologicznie. Dziś mamy 2,4 mln osób powyżej 75. roku życia. W 2050 r. będzie ich niemal dwa razy więcej. I to już nie będzie problem statystyczny – to będzie dramat budżetowy. Bo przecież nie tylko więcej seniorów, ale i mniej pracujących, którzy będą musieli ich utrzymać.

ZUS już dziś ledwo dyszy. Wydaje ponad 400 mld zł rocznie na świadczenia. Sam tylko koszt 13. i 14. emerytury to ponad 31 mld zł rocznie. Wpływy ze składek nie pokrywają potrzeb. Fundusz Ubezpieczeń Społecznych zasypywany jest dotacjami budżetowymi – z naszych podatków, z długu publicznego. Prognozy? Fatalne. Deficyt FUS ma sięgać nawet 2,8 proc. PKB w ciągu kilku lat. To pieniądze, których nie mamy, a które trzeba będzie znaleźć – kosztem inwestycji, edukacji, zdrowia.

KRUS, choć mniejszy, również pochłania coraz więcej. Średnia emerytura rolnicza to dziś ok. 2 tys. zł. Ale system utrzymuje ponad 960 tys. świadczeniobiorców. 14. emerytura też przysługuje. I owszem, na wsi żyje się skromniej, ale państwo dopłaca niemało.

I tu dochodzimy do trzeciego problemu: rosnących kosztów zdrowotnych. Senior, nawet aktywny, nawet jeżdżący na rowerze w klubie seniora, wcześniej czy później trafi do lekarza. I do apteki. A potem do szpitala. I znowu do apteki. I na rehabilitację. I do domu opieki. Leczenie chorób przewlekłych, operacje, leki, transport medyczny – to nie są „dodatki". To filary kosztów starości, które rosną wykładniczo z każdym dodatkowym rokiem życia.

Programy rządowe – owszem – pełne są dobrych intencji. Ale i pieniędzy. Korpus Wsparcia Seniorów to 65 mln zł rocznie. Opieka 75 plus – 80 mln. Program „Senior plus" – 60 mln. „Aktywni plus" – kolejne 40. I chociaż te kwoty bledną przy ZUS-owskich miliardach, to jednak są elementem większej układanki, w której seniorzy stają się największym beneficjentem państwa. Niekoniecznie z własnej winy, ale za przyzwoleniem kolejnych rządów, które nie mają odwagi powiedzieć, że system się kończy.

Bo to nie jest już tylko problem demograficzny. To nie kwestia „godnej starości". To pytanie o to, kto za to zapłaci. I czy Polska ma jeszcze ten luksus, by udawać, że tego pytania nie ma.

Wyobraźmy sobie rok 2050. Emerytura będzie wynosiła 30 proc. ostatniego wynagrodzenia. Człowiek, który dziś zarabia 7 tys. zł netto, jutro dostanie 2 tys. z groszami. Co trzeci obywatel będzie seniorem. A praca młodych sprowadzi się do płacenia emerytom. Zrobi się jak dziś w USA, gdzie staruszkowie sprzątają i pracują w McDonaldach. U nas też tak robią – bo muszą. Ale sporadycznie, za jakiś czas stanie się to standardem.

Na te chwilę jednak staruszkowie cieszą się życiem. Sanatoria pełne są seniorów przyjeżdżających na bezpłatne turnusy zdrowotne. W tych tłumach emerytów, jak donoszą badacze, choroby przenoszone drogą płciową potroiły się w dekadę. Rzeżączka, chlamydia, kiła – trzy razy częściej niż przed laty, bo zero prezerwatyw, brak edukacji seksualnej, leki na potencję i samotność, no i wzmocniona aktywność seksualna starszych. Więc babcia przyjeżdża do sanatorium na rehabilitację kolana, a wyjeżdża z kiłą. A jak tylko zachoruje – kosztuje. I system, który tę chorobę na nią ściągnął, musi płacić.

Gdyby zatem staruszkom nie zapewniano sanatoriów, byliby statystycznie zdrowsi i żyliby dłużej. Czyli byliby dla systemu drożsi, więc sanatoria, w których popadają w choroby, dla państwa mają głęboki sens.

Bo dla systemu najlepszy senior to taki, który umiera tuż po przejściu na emeryturę. Dlatego w interesie systemu jest, żeby dziadkom i babciom nie tylko nie zakazywać fajek i gorzały, ale aby mogli je kupować z wielką zniżką.

Przyzwyczailiśmy się mówić o starości z czułością. Z troską. Z wdzięcznością. Ale trzeba też mówić o niej z budżetowym realizmem. Seniorzy są coraz liczniejsi. Coraz bardziej kosztowni. Państwo ich nie porzuca, ale też nie ma planu, co dalej. Możemy nadal budować kolejne kluby seniora i zatrudniać psychologów społecznych, którzy poprowadzą warsztaty z zarządzania samotnością. Możemy rozważać wprowadzenie „bonów rehabilitacyjnych" i dofinansowań do wycieczek krajoznawczych. Możemy nawet co roku podnosić świadczenia i fundować pakiety leków za złotówkę. Ale w końcu przyjdzie dzień, w którym system odmówi współpracy.

Lewica nie chce podniesienia wieku emerytalnego. Prawica nie godzi się na wpuszczanie emigrantów, którzy pracowaliby na emerytury staruszków. Społeczeństwo wstrzymało się z produkcją małych obywateli. Co w takiej sytuacji powinien uczynić patriotycznie nastawiony senior, żeby wspomóc państwo?

TADEUSZ JASIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

W kolejce do bezdomności

Każdy może wylecieć

Kiedyś, kiedy kandydowałem w wyborach, na zebranie przedwyborcze w Szczecinie przybył bezdomny inżynier, który o spotkaniu dowiedział się z kryształkowego radia, które sam skonstruował. Na osiedlu Przyjaźń w Warszawie – kompleksie drewnianych domków pozostałych po budowniczych Pałacu Kultury, które przez lata pełniły funkcję akademików – mieszkają młodzi ludzie, którzy nie mieli dachu nad głową. Kolektyw tam zamieszkujący jest niezwykle zintegrowany. Kiedy tłumaczyłem urzędniczkom w ratuszu, że to jest grupa bardzo dobrze wykształconych i wychowanych ludzi, a nie jakiś element, to użyłem argumentu, że po to, by zostać anarchistą, trzeba mieć bardzo wysoki kapitał kulturowy. Człowiekowi przeciętnemu jest bowiem bardzo trudno wyobrazić sobie życie bez państwa. A oni i one potrafią.

Wspólnotę tworzyć potrafią tylko ludzie ponadprzeciętni. Przeciętni chowają się za murami, ochroną i nie mówią sobie dzień dobry. Nawet na spółdzielniach mieszkaniowych ogrodzonych płotem widnieje napis: „wstęp wzbroniony, teren prywatny".

Do Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej zgłosił się młody prawnik, który przyjął pod swój dach bezdomną kobietę, jej psa i dwa koty. Mało tego, zgłosił się nam do pomocy, zasilając skromne szeregi wolontariuszy.

Ostatnio dowiedzieliśmy się o innym radcy prawnym, pomagającym kobiecie, którą administracja z dzielnicy Praga Południe wyrzuciła z mieszkania. Przyszli ot tak, bez komornika, bez wyroku i kazali jej spadać, bo zawołają policję. Kobieta była tak przerażona, że wyszła, nie zabierając nawet dowodu osobistego. Jak stała. Po czym spędziła cztery lata, koczując w krzakach obok ekskluzywnego osiedla i Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Wykładowcy tej uczelni i studenci latami mijali obojętnie bezdomną kobietę. Ciekawe, czego właściwie naucza ta prywatna uczelnia. Czego uczy ta „psychologia społeczna"? Aż wreszcie przeszedł tamtędy radca prawny Buczek, który wynajął bezdomnej hostel i podjął starania na drodze prawnej, aby ją wyprowadzić z bezdomności. Musiał studiować gdzieś indziej, bo na SWPS widocznie uczą znieczulicy.

Gdyby kobieta zaczekała na policję, której wezwaniem grozili urzędnicy z Pragi, to oni mogliby się zdziwić, bo znam wiele przypadków, kiedy policjanci odmawiają eksmitowania człowieka, jeżeli czynności nie towarzyszy komornik. Komornik bowiem działa na podstawie tytułu wykonawczego wydanego przez sąd. Wymogliśmy nawet na Komendzie Głównej Policji wydanie okólnika rozsyłanego do wszystkich posterunków, że jeżeli eksmisja odbywa się pod nieobecność komornika, to jest nielegalna.

Mówi się, że nieznajomość prawa szkodzi. Dlaczego jednak szkodzi tylko zwykłym obywatelom, a nie urzędnikom? Ci, którzy po bandycku wygonili kobietę z mieszkania, też powinni dostać za swoje. Ta 64-letnia kobieta mieszkała tam od kilkunastu lat z konkubentem. Gdy ten opuścił lokal, mieszkała jeszcze kilka lat sama, płacąc regularnie czynsz i wszystkie opłaty. To oznacza, że wbrew temu, co opowiada pani z Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami na Pradze Południe, miała ona tytuł prawny (ważną umowę), bo sytuacja, w której lokator opłaca mieszkanie, a właściciel (gmina) przyjmuje pieniądze, oznacza dorozumiany stosunek najmu.

Najłatwiej jest skrzywdzić człowieka prostego. Ci z wysokim kapitałem kulturowym zajmujący puste budynki i w nich mieszkający (na squatach) potrafią się bronić, posługiwać prawem w obronie swego posiadania. Bo doczytali się, że polski kodeks cywilny chroni posiadanie lokalu na równi z własnością, nawet jeśli to posiadanie jest „w złej wierze", na przykład jeśli ktoś zajmuje lokal bez umowy.

Jeżeli jesteś zbyt biedny, żeby wynająć coś na wolnym rynku, to jesteś nikim. Ta definicja da się zastosować do większości polskiego społeczeństwa. Większość jednak swe mieszkania ma po rodzinie, wykupione za symboliczną złotówkę w ramach powszechnego uwłaszczenia.

Przy czym ci, którzy wykupili, traktują z góry „plebs", który wykupić nie zdołał. Zapominają, że stali się dumnymi właścicielami mieszkania zbudowanego za nasze podatki za jakąś śmiesznie niską kwotę i już odnoszą się do sąsiadów niewłaścicieli jak biali panowie do chłopów pańszczyźnianych. To rozwarstwienie jest trochę zmyślone, choć nie do końca. Bo tak wywianowani przez nas, podatników, właściciele nabywają majątek znacznej wartości, które wielu z nich może po prostu sprzedać po wolnorynkowej cenie.

Konieczność wynajmowania mieszkania na wolnym rynku sprawia, że ludzie o stosunkowo dobrych, średnich dochodach żyją w niedostatku, pracując na majątek i dobrobyt wynajmującego – tzw. landlorda. W ten sposób pompowany wciąż spekulacyjnie rynek mieszkaniowy przyczynia się do rosnącego rozwarstwienia polskiego społeczeństwa. Nabijanie kieszeni właścicielom mieszkań pod wynajem i wyzysk czynszowy polegający na konieczności płacenia czynszu na poziomie niewiele mniejszym niż miesięczne wynagrodzenie powodują, że jesteśmy jednym z najbardziej nierównych, rozwarstwionych społeczeństw.

To, co sądy uznają za tzw. godziwy czynsz, jest szczególnie niegodziwe, bo doprowadza najemców do biedy. Beneficjenci tej sytuacji – bogacze kupujący mieszkania jako lokaty oraz deweloperzy – są dość wpływowi, aby nie dopuścić do żadnych zmian prawnych pomagających lokatorom.

Czynsze są zderegulowane, a masowe budownictwo społeczne niemożliwe. Ale nawet ludzie uwłaszczeni, właściciele mieszkań mogą w każdej chwili popaść w spiralę długów, a ponieważ jedyne aktywa, jakie mają, to ich dach nad głową, to może on pójść pod młotek, a właściciele pod most. Zwłaszcza że byli właściciele nie są lokatorami i nie chroni ich ustawa o ochronie praw lokatorów.

Stąpamy po kruchym lodzie i większość z nas nie zna ani dnia, ani godziny.

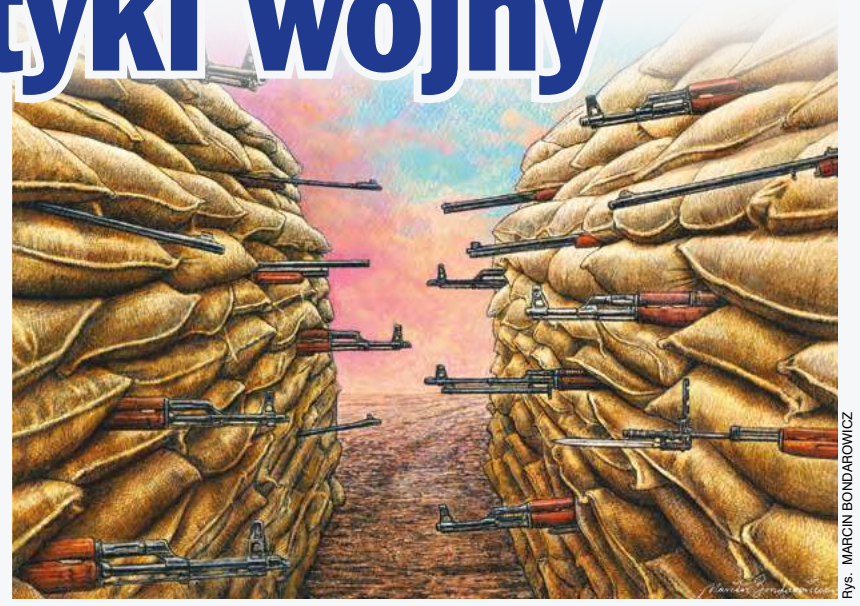
PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl b28e03b806

ETYKA BEZBOŻNA

ABC etyki wojny

Abyśmy zabijali się mniej i bardziej humanitarnie



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Dziś całkiem poważnie. Czasami trzeba. Otóż jest taki dział etyki, gdzie wszystko jest na opak i stoi na głowie: etyka wojny. Dziwność tej dyscypliny polega na tym, że poddaje ocenie moralnej państwa, armie i jednostki zajmujące się zabijaniem. Ocenie, która czasami wypada bardzo źle, a czasami względnie czy też warunkowo dobrze. Ale jednak dobrze! Przecież wojna to samo zło! Na tym jednak nie koniec. Jako że w zasadzie każdy podmiot (najczęściej państwo, ale niekoniecznie) prowadzący wojnę czy biorący w niej udział z przymusu w toku działań wojennych zabija jakieś osoby, których śmierć nie była niezbędna dla osiągnięcia założonych celów militarnych i politycznych, to ewentualna pozytywna ocena moralna może dotyczyć i często dotyczy państwa albo armii, która ma na sumieniu akty zbrodnicze.

Wygląda to jak czysty skandal, lecz inaczej po prostu się nie da. Można by co najwyżej zrezygnować z oceny moralnej i całej tej dziwacznej etyki wojny, lecz konsekwencje tego porzucenia byłyby wprost tragiczne. Etyka wojny jest podstawą konwencji regulujących dopuszczalne sposoby prowadzenia wojny, czyli zabijania. Gdyby nie one, wojny byłyby o wiele okrutniejsze. Dzięki niej zabijamy się wzajemnie trochę mniej i trochę mniej brutalnie. Dziś, gdy wojny są blisko nas, dobrze jest rozumieć, jak to się właściwie robi, żeby móc w miarę odpowiedzialnie jednych zabijających potępiać, a innych pochwalać, jednych ścigać i stawiać przed międzynarodowymi trybunałami, a drugich przyjmować na salonach. A raczej – bo tak jest najczęściej – jednych potępiać z pewnymi niuansami, a tych drugich pochwalać z poważnymi zastrzeżeniami.

I chyba na początku to właśnie trzeba zrozumieć, że nie ma wojen czarno-białych. Chciałoby się, żeby tak było: tu łajdaccy agresorzy, a tam niewinne, bohatersko broniące się ofiary. Jedni prowadzą wojnę sprawiedliwą, a ci drudzy są po prostu brutalnymi najeźdźcami. Niestety, sprawy wyglądają tak jedynie w przekazie propagandowym walczących stron. Jednakże prawdą jest również i to, że w zasadzie zawsze któraś strona konfliktu zbrojnego ma zdecydowaną przewagę moralną nad swoim wrogiem. Mówiąc obrazowo, w moralnych ocenach wojujących państw i armii wszyscy wypadają szaro, ale niektóre szarości są jasne, a inne ciemne.

Mamy tu niewiele miejsca, przeto dla uproszczenia przyjmijmy wyidealizowaną i rzadko w gruncie rzeczy spotykaną sytuację, gdy aktorów wojny jest dwóch, przy czym jeden z nich jest agresywnym najeźdźcą, a drugi broni swojej niepodległości; jeden jest bardzo ciemnoszary, a drugi niemalże całkiem biały. Oczywiście nie znaczy to, że naród agresora nie uważa wojny za słuszną – prawie zawsze, bez względu na okoliczności, naród popiera jeśli nie wojnę, to na pewno swoich żołnierzy, a wrogowi życzy źle. Strona agresywna prawie zawsze uważa przy tym swój atak lub najazd za uzasadniony czy też sprowokowany. Ba! Bywają i wojny powstańcze, gdy agresorem jest akurat strona słabsza i historycznie pokrzywdzona. Bardzo trudno znaleźć takie dobre miejsce, z którego szarości widoczne są w takim samym świetle i mogą być dobrze ze sobą porównane. To ważne, bo ocena wojen to zawsze porównywanie. Porównywanie racji i zachowania stron konfliktu oraz tego zachowania do zachowania innych państw czy organizacji podczas innych wojen. Właściwie każda ocena moralna jest porównaniem – do jakiegoś realnego bądź jedynie idealnego wzorca.

Niestety, etyk mający ocenić działania obu stron konfliktu musi również agresorowi przyznać prawo do tego, żeby działał na rzecz swojego zwycięstwa i stawia mu warunki zbliżone do tych, jakie stawia stronie broniącej się. To okrutne, lecz w przeciwnym razie nie dałoby się doprowadzić do powstania uniwersalnych reguł, które powinny być przestrzegane przez wszystkich walczących. Na tym jednakże idealizacje się kończą. Etyka wojny zaczyna się tam, gdzie potoczne wyobrażenia wszystko nazbyt upraszczają.

W potocznym pojęciu wojna toczona jest przez żołnierzy, którzy mają prawo się wzajemnie zabijać, oraz bezbronnych i niewinnych cywilów, których zabijać w zasadzie nie wolno wcale. Etyk nie może sobie pozwolić na takie uproszczenie. To nie jest tak, że cywile są, by tak rzec, kryształowo niewinni, ani nie jest tak, że życie żołnierza wrogiej armii w żaden sposób nie zasługuje na ochronę i wolno, a może nawet trzeba, go zabić.

Cywile bardzo często stają się pomocnikami wojska – i to nieraz całkiem dobrowolnie. To rzecz zupełnie normalna. Poza tym radykalne unikanie zabijania cywilów uniemożliwiłoby osiąganie celów wojennych i zwycięstwo. Etyka wojny nie może więc tego żądać. Czego więc żąda? Niestety, jest tylko etyką wojny, a nie pokoju. Z zasady przystaje na zabijanie. Żąda więc, aby zabijano najmniej ludzi, jak to tylko możliwe, z zachowaniem priorytetów ochrony dla ludności cywilnej. „Jak najmniej" to jednakże bardzo nieprecyzyjna kategoria. Nie można jednak niczego tu precyzować, bo ludzkiego życia nie da się wprost traktować ilościowo i każda taka miara jest nie tylko arbitralna, lecz w jakiś sposób nieludzka. Nie mówi się więc, że na przykład akceptowalna proporcja zabitych żołnierzy do zabitych cywilów to 1:1 albo 1:5. Ocenia się to w każdym przypadku osobno, biorąc pod uwagę wiele rzeczy, na przykład charakter tej wojny (starcie armii zawodowych albo np. starcie partyzanckie) i teatr wojenny (miasto, tereny wiejskie), a także wymogi ochrony życia własnych żołnierzy.

No właśnie. Własnych żołnierzy wolno chronić i nawet trzeba chronić bardziej niż wrogich cywilów, nie mówiąc już o żołnierzach wroga. Z drugiej strony jednak bynajmniej nie wolno kierować się zasadą, że własnych żołnierzy trzeba chronić najsilniej jak się da i za wszelką cenę. Gdyby istniała taka zasada, to mogłaby ona służyć za usprawiedliwienie wielkich nalotów dywanowych i w ogóle walki zdalnej. Tymczasem wciąż obowiązuje nas reguła honoru, nakazująca stronom podejmowanie ryzyka bezpośredniego starcia bojowego.

Dziwna jest etyka wojny, lecz jej postulaty są bardzo dobrze zrozumiałe. W skrócie wyglądają tak. Jeśli już musi być wojna i musicie się zabijać, to niechaj to zabijanie wygląda jak najbardziej humanitarnie. Nigdy nie wolno stosować terroru, a zwłaszcza tortur. Należy ostrzegać ludność cywilną przed planowanymi działaniami wojennymi i pozwalać jej na ewakuację. Należy dobrze traktować jeńców. Należy wystrzegać się broni masowego rażenia i środków bojowych działających nieprecyzyjnie lub w sposób wywołujący męczarnie. Zbrodniarze wojenni powinni być sądzeni i skazywani. To naprawdę bardzo wiele, gdy wokół kipi nienawiść.

Każda wojna jest okrucieństwem i każdy, kto wojuje, czasami zabija niepotrzebnie. Każda walcząca armia dopuszcza się czasami występków i zbrodni. W warunkach skrajnego napięcia emocjonalnego ekscesy nienawiści i okrucieństwa są nie do uniknięcia. A jednak nadal jedne zbrodnicze armie są mniej zbrodnicze od swoich przeciwników. Jedne walczą w sprawie, za którą stoją mocniejsze moralne racje, a inne odwrotnie. I zdarzają się tu wszelkie konfiguracje.

Można w sposób cywilizowany prowadzić wojnę agresywną i w sposób zbrodniczy wojnę obronną – chociaż częściej będzie na odwrót. A jeśli już o realiach mowa, to prawdziwe wojny są o wiele bardziej złożone, niż może to udźwignąć etyczna analiza

zmierzająca do oceny. I dlatego etycy najczęściej oceniają jedynie pewne konkretne zdarzenia i sytuacje. Dopiero synteza wielu takich cząstkowych analiz prowadzi do pewnej oceny ogólnej. Ta jednakże pojawia się długo po tym, gdy opadnie bitewny kurz.

JAN HARTMAN

Ginący gatunek

Laurka na Dzień Nauczyciela

Rozporządzenie ministra środowiska z 16 grudnia 2016 r. w sprawie ochrony gatunkowej zwierząt zakazuje m.in. chowu, „zbierania, pozyskiwania, przetrzymywania lub posiadania okazów gatunków" czy „niszczenia siedlisk lub ostoi, będących ich obszarem rozrodu, wychowu młodych, odpoczynku, migracji lub żerowania". Wydaje mi się, że to rozporządzenie należałoby rozciągnąć na nauczycieli, którzy – zwłaszcza co lepsze okazy – są gatunkiem zagrożonym, a niestety wciąż nieobjętym ochroną. Wręcz przeciwnie: politycy, biskupi i rodzice polują na nich nieomal 24 godziny na dobę, 365 dni w roku.

Pamiętam, jak za dzieciaka robiło się laurki dla pedagogów z okazji Dnia Edukacji Narodowej zwanego potocznie Dniem Nauczyciela. Minęło od tego czasu prawie 40 lat, a ja postanowiłam napisać – malowanie zawsze mi chujowo wychodziło, nad czym ubolewam po dziś dzień – laurkę dla nauczycieli, a nade wszystko nauczycielek. Tych cichych bohaterek o zmęczonych, szarawych twarzach, nieumalowanych i o wiecznie smutnych oczach, które użerają się z cudzymi bachorami w podstawówkach czy szkołach średnich.

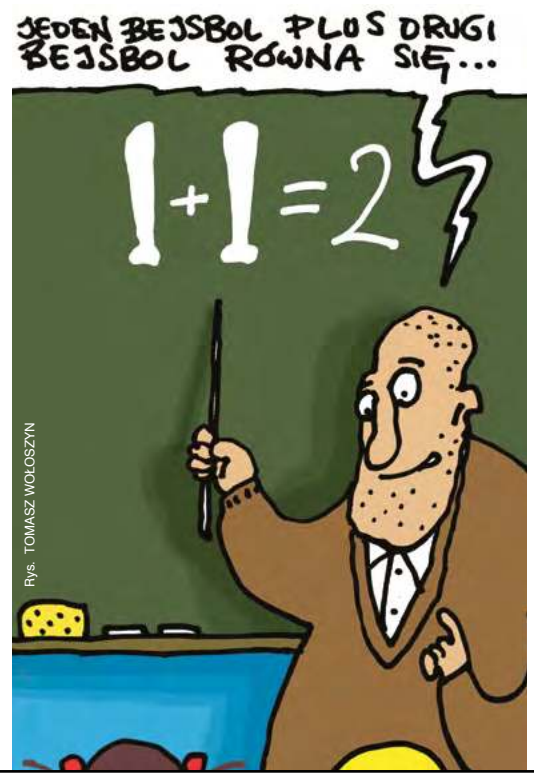
W dziele „O pochodzeniu człowieka" (1871) Karol Darwin zauważa: „W przyszłości, która, mierząc stuleciami nie jest zbyt odległa, cywilizowane rasy człowieka z pewnością wytępią i zastąpią na całym świecie rasy dzikie". Nie śniło mu się, że wraz z nadejściem Instagrama i TikToka to „rasy dzikie" – i to w ciągu nawet nie stuleci czy nawet dekad, lecz kilku lat – wytępią „rasy cywilizowane".

Znany XIX-wieczny liberał Herbert Spencer mówił o przeżyciu najsilniejszych, najlepiej dostosowanych (*survival of the fittest*), a w jednej ze swych książek napisał: „Siły realizujące wszechogarniającą koncepcję całkowitego szczęścia nie biorą pod uwagę cierpienia, jakie niesie ze sobą podporządkowanie, i usuwają (*exterminate*) te sfery życia, które stoją na drodze do sukcesu. Czy to będzie ludzka istota, czy też zwierzę (*brute*) – przeszkoda musi być usunięta".

W gruncie rzeczy dziś za szczęście nie uznaje się mądrości i wiedzy, lecz pochwala się ignorancję, która pozwala łatwiej nami manipulować – przez korporacje, media czy (na szczęście coraz rzadziej) klechów.

Wydaje mi się, że przeszkodą do szczęścia powszechnego w Polsce stały się nauczycielki i nauczyciele. Nie, nie przesadzam. Mam oczy, więc widzę, co się dzieje wokół mnie, mam uszy (może nie takie duże, jak miał Urban, ale jednak), więc słucham, co ludzie mówią na ulicach, w autobusach i tramwajach.

Znany lewak Albert Einstein powiedział, że wzorem na szczęście jest X + Y + Z: praca, odpoczynek i trzymanie języka za zębami. W naszym coraz mniej wesołym kraju wypracowaliśmy – każdy z osobna i wszyscy razem – receptę na szczęście, która jest prosta jak pierdolenie (choćby to, które jest udziałem rządzących Rzeczpospolitą). I zakałą narodu, która przeszkadza w jej skutecznym wdrażaniu w życie, są te cholerne panie od polskiego czy historii, mówiące o jakiejś tam kulturze, poezji, uszlachetnianiu charakteru, rozumieniu swojego miejsca w świecie, świadomej egzystencji, która nie jest wegetacją troglodyty wpatrzonego w smartfon.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Na szczęście nie jeżdżą one teslami i porschakami, nie mają setek tysięcy obserwujących w mediach społecznościowych, nie mają ciuchów od Balenciagi (ani nawet od Calvina Kleina), więc dzieciaki mają w dupie to, co mówią – i to bardzo głęboko…

Bo receptą Polaka i Polki na szczęście jest właśnie bycie Polakiem i Polką. Facet to musi być facet, korona stworzenia, pan świata. W końcu jego polskość potwierdzają gole strzelone przez Lewandowskiego – tak jak za komuny klasa robotnicza piła szampana ustami swoich przedstawicieli, tak dzisiaj pospólstwo nosi zegarki w cenie mieszkań na przegubach rąk celebrytów.

Kobieta musi być zrobiona – cycki, usta i tyłek to jej główne atuty. Lepiej zainwestować w wygląd i dać sobie zrobić dziecko jakiemuś bogatemu frajerowi niż uczyć się latami i pracować za pensję minimalną lub w ogóle nie znaleźć roboty. Prawdziwy zarobek jest na OnlyFans i na seks-kamerkach. Faceci, którzy narzekają, gdy ich ulubione piwo zdrożeje w sklepie o 20 groszy, są gotowi wydać parę dych, aby ktoś przez parę czy parenaście minut zrobił to, co chcą oglądać. Nie brak frajerów, którzy są tak uzależnieni od seks-kamerek, że wydali na nie dziesiątki tysięcy złotych. Jak przed laty mawiała pewna ministra z PO: „Sorry, taki mamy klimat".

Kiedy 14 października 1773 r. z inicjatywy króla Stanisława II Augusta Poniatowskiego powstała Komisja Edukacji Narodowej, u jej podstaw leżała – z dzisiejszej perspektywy: naiwna, a może nawet dziwna – oświeceniowa wiara w siłę edukacji młodych ludzi. W końcu w akcie fundacyjnym Akademii Zamojskiej kanclerz i hetman Jan Zamoyski napisał: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie… Nadto przekonany jestem, że tylko edukacja publiczna zgodnych i dobrych robi obywateli". I 425 lat później te słowa są jeszcze bardziej aktualne niż kiedykolwiek.

Kluczowe w powyższej wypowiedzi są słowa: „edukacja publiczna". W kapitalistycznej Polsce próbuje się na wszelkie sposoby ową edukację publiczną zohydzić, zobrzydzić, poniżyć, wręcz zeszmacić. Powstała prywatna – często przykościelna – sieć szkolnictwa: od żłobków aż po szkoły wyższe. Tam za odpowiednią kwotę uczą się przyszłe elity narodu. Nie, nie trafiają tam najzdolniejsze dzieciaki – ale to tam zrodzą się znajomości i przyjaźnie, które zaprocentują w przyszłym życiu.

Polska szkoła jest odbiciem społeczeństwa – jest podzielona klasowo i ludzie z różnych przegródek klasowych praktycznie się ze sobą nie komunikują. Bo i o czym mają ze sobą rozmawiać? Ich światy są nieprzystawalne do siebie i nieprzekładalne. Polska A każe Polsce B i C pocałować się w d…

Mało co mnie tak wkurwia jak te wszystkie osiągnięcia nastoletnich geniuszy, przyszłych, a nawet obecnych pracowników Doliny Krzemowej czy tam kolejnych astronautów. Jasne, należy rozwijać talenty. Ale z definicji nie każdy jest geniuszem, ani nawet osobą o nieprzeciętnych zdolnościach – wiele dzieciaków z tzw. dobrych domów wciąga mefedron (tani i powszechnie dostępny), aby unieść chore ambicje rodziców, którzy postanowili zajebać je nauką, korepetycjami i zajęciami dodatkowymi.

Dla nich nauczyciel to ten, kto nie poszerza ich horyzontów myślowych, lecz jest sędzią w wyścigu szczurów.

Rankingi szkół średnich są czymś, co powinno się zdelegalizować. Czy uczniowie tych najlepszych szkół z mnóstwem olimpijczyków mają szczęśliwe życie? Czy są empatyczni, wrażliwi, skorzy do pomocy innym, czy są raczej nastawieni na bezwzględną konkurencję, ciągłe porównywanie się z innymi.

14 października powie się parę frazesów o roli edukacji, niskich pensjach nauczycieli, negatywnej selekcji do zawodu. I dzień później wszystko wróci do normy, która jest nienormalnością. Najbardziej nienormalne jest, że już nawet straciliśmy zdolność do dziwienia się temu, jaki los zgotowaliśmy nauczycielom i dzieciom…

KAT

eprasa.pl b28e03b806

Nasi amerykańscy chłopcy

Fantastycznie, że amerykańskie wojsko stacjonuje w Polsce, ale...

Ciekawe, ile osób wie, że istotą umowy wojskowej między Polską a Stanami Zjednoczonymi nie jest infrastruktura, nie są nawet liczby żołnierzy. Najważniejsze jest to, że amerykański wojskowy obecny na terytorium Rzeczypospolitej może mieć gdzieś polskie prawo, polską policję, prokuraturę i sądy. I to już nie tylko w praktyce, w ramach przyjętego zwyczaju, ale nader formalnie, zgodnie z literą porozumień.

Nie drażnić

Do 2020 r. obowiązywał mechanizm oparty na porozumieniach NATO, gdzie Polska miała teoretyczne prawo ścigania żołnierzy USA za przestępstwa popełnione na jej terytorium. Teoretyczne, bo praktyka była inna. Można się było zrzekać jurysdykcji na rzecz sądu amerykańskiego. Zawsze można było „porozumieć się". Zwłaszcza gdy incydent miał miejsce w czasie służby – a co to znaczy „w czasie służby", ustalała strona amerykańska.

Z chwilą wejścia w życie bilateralnej umowy EDCA nie ma już nawet tej cienkiej warstwy fikcji. Polska de facto zrezygnowała z jurysdykcji wobec żołnierzy USA także wtedy, gdy ci popełnią przestępstwo prywatnie, poza służbą, poza bazą. Bo choć oficjalnie nikt nie przyzna, że chodzi o immunitet dyplomatyczny wojaków zza oceanu, to jego zakres praktyczny jest nim faktycznie.

Jeśli pijany żołnierz amerykański spowoduje wypadek śmiertelny pod Radomiem, zostanie przejęty przez amerykańskich żandarmów i wywieziony do bazy. Jeśli zgwałci kobietę w Białymstoku, zostanie odesłany do USA. A potem? Potem nic. Bo jeśli czegoś uczy historia podobnych przypadków z Niemiec, Japonii czy Włoch, to właśnie tego, że za oceanem takie sprawy rozpływają się we mgle. Nikt nie zna wyroku, nikt nie zna nazwiska, nikt nie wie, czy w ogóle toczyło się postępowanie.

W Polsce – jak dotychczas – nie było precedensu, by obywatel amerykański w mundurze został postawiony przed polskim sądem za czyn poza służbą. A w innych krajach przynajmniej od czasu do czasu wybuchają skandale. Na Okinawie po brutalnym przestępstwie dokonanym przez żołnierzy USA władze japońskie wymusiły, by sprawa trafiła przed japoński sąd. We Włoszech, gdy pilot amerykańskiego myśliwca przeciął linę kolejki linowej i zabił 20 osób, sprawa również nabrała rozgłosu. Ale skończyło się, jak zwykle: sąd amerykański, łagodny wyrok, sprawa zamknięta. W Polsce nie wybucha nic, bo nawet nie dochodzi do momentu, w którym coś mogłoby wybuchnąć.

Żeby było jasne – sojusz z USA jest nam bardziej niż potrzebny. Ale wypadałoby, aby opierał się na wzajemności, a nie na wasalstwie. Polska powinna gościć wojska USA, ale nie może się godzić na to, by jej obywatele byli wobec tych żołnierzy bezbronni.

A Rzeczpospolita Polska – mieniąca się jednym z najważniejszych europejskich sojuszników USA – wynegocjowała i zawarła umowę, która sytuuje ją w pozycji gorszej niż w swoim czasie Irak.

Państwo, które zostało podbite i zajęte zbrojnie przez wojska amerykańskie. A gdyby ktoś nie wierzył, to proszę bardzo.

Nie tykać

Maj tego roku. Autostrada A4, okolice miejscowości Rąbienice na Dolnym Śląsku. Późny wieczór, 32 osoby na pokładzie autokaru, który właśnie pokonuje trasę z Niemiec na Litwę. Wszyscy to amerykańscy żołnierze. Nagle pojazd wypada z jezdni, przewraca się na bok i ląduje w rowie. Pierwsze informacje policyjne mówiły, że autokarem jechali turyści rumuńscy, dopiero później prostował to przedstawiciel Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Wypadki drogowe z udziałem US Army to standard, o którym polscy policjanci boją się nawet wspominać. W kwietniu 2024 r. w Zyrowie pod Grójcem doszło do wypadku ciężarówki należącej do kolumny wojskowej NATO. Poszkodowani zostali dwaj żołnierze amerykańscy.

W okolicach Świętoszowa niedaleko Bolesławca doszło do zderzenia wojskowego Humvee z cywilnym Volkswagenem Passatem. „Okazało się, że w wyniku zderzenia dwie osoby odniosły obrażenia. Jedną jest kierowca samochodu osobowego, a drugą jeden z amerykańskich żołnierzy" – relacjonowała miejscowa straż pożarna. Szybko ustalono, że sprawcą zdarzenia był 63-letni kierowca Volkswagena.

Pech amerykańskich żołnierzy na polskich drogach to w rzeczywistości mieszanka przypadku, i powolnego systemu odpowiedzialności. Bo choć o każdym zdarzeniu słyszymy od razu, to o rozliczeniach – już niemal nigdy.

Nie dostrzegać

Początek kwietnia 2023 r. Rynek w Bolesławcu, sobotnia noc. Dwóch mężczyzn prowadzi kobietę, która płacze i krzyczy. „Wyglądało to na atak, bo była kobieta, która krzyczała, i byli mężczyźni, którzy przekładali ją z jednych rąk do drugich, przez moment też ciągnęli" – relacjonowali internauci. Na nagraniu widać, jak w pewnym momencie kobieta rzuca się w ramiona Polaka. Dochodzi do przepychanek. Kiedy po 20 minutach zjawia się policja, sytuacja jest już opanowana. Amerykanie, którzy chwilę wcześniej budzili strach wśród mieszkańców, dostają mandaty. Dowództwo US Army wydało oświadczenie: „Żołnierze amerykańscy biorący udział w incydencie zostali objęci ograniczeniami do czasu zakończenia dochodzenia". Zapewniono, że winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Ale jakiej – nie sprecyzowano.

Jakiś czas temu w jednym z gdańskich mieszkań interweniował patrol policji. Powód: zakłócanie spokoju i niszczenie mienia. Sprawcą okazał się 22-letni amerykański szeregowy z jednostki w Drawsku Pomorskim. Był pijany. W trakcie interwencji znokautował policjantkę, a dwóch innych funkcjonariuszy pobił do tego stopnia, że jeden miał złamaną ręką, drugi – złamany nos.

„Żołnierz został zatrzymany. Już wtedy podjęto czynności w niezbędnym zakresie, jednak żołnierz został zwolniony i przekazany swoim przełożonym. Czynności w tej sprawie będą wykonywane zgodnie z umową rządu RP i rządu Stanów Zjednoczonych" – tłumaczyła gdańska prokuratura.

Efekt? Amerykanin, który ciężko pobił troje polskich policjantów, nie stanął przed polskim sądem. Został ukarany dyscyplinarnie – o czym jednak polska opinia publiczna nigdy się nie dowiedziała.

Noc z 19 na 20 maja 2022 r. Łódź, ul. Piotrkowska. Polak spędza wieczór z żoną w knajpianym ogródku. Poznają dwóch Amerykanów, którzy pokazują wojskowe dokumenty. Atmosfera psuje się błyskawicznie. „Przed oczami cały czas powraca mi obraz gościa, który cedzi przez zęby: »I will fuck your wife bitch«" – wspominał potem poszkodowany. Chwilę później dostał łomot. Bilans: złamana szczęka, przesunięta żuchwa, obrażenia wewnętrzne, dwie operacje i długa rehabilitacja. Sprawa trafia do prokuratury w Łodzi, potem do Warszawy. I kończy się umorzeniem. „Wspomniane akty prawne przewidują pierwszeństwo jurysdykcji władz USA wobec żołnierzy Sił Zbrojnych tego państwa. Jednocześnie zadecydowano o przekazaniu sprawy władzom USA" – tłumaczyła prokuratura.

Dowództwo US Marines poinformowało, że żołnierz został ukarany „pozasądową karą" na podstawie amerykańskiego kodeksu wojskowego. Jaką? Tajemnica.

Tak właśnie działa polsko-amerykańska umowa wojskowa. Polska formalnie zrzekła się pierwszeństwa jurysdykcji wobec amerykańskich żołnierzy. Wyjątek przewidziano jedynie dla spraw „o szczególnym znaczeniu dla Rzeczypospolitej Polskiej". Ale czy pobicie policjantów, awantura w centrum miasta czy brutalne złamanie szczęki Polakowi to nie są przypadki „szczególnego znaczenia"?

A najzabawniejsze, że ten nasz serwilizm w każdej chwili może się skończyć tym, czym za pierwszej kadencji Trumpa w kurdyjskiej części Syrii, gdzie US Army z dnia na dzień dostała rozkaz wycofania się i pozwolenia w jej miejsce wejść Ruskim. Oczywiście w ramach gwarancji, sojuszu, braterstwa i takich tam.

TOMASZ BOROWIECKI



Ilustr. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W okolicach Szczecina rosyjski kuter rybacki pozwolił sobie na luksus 20-minutowego postoju w pobliżu podmorskiego gazociągu. Rybacy dryfowali jakieś 300 m od rury (o czym mogli nawet nie wiedzieć). To, jak wiadomo, w geopolityce oznacza już niemal III wojnę światową. Straż graniczna wkroczyła do akcji. Przez radio kazała rybakom „oddać wsteczny". Posłuchali bez szemrania, co świadczy o tym, że albo nie byli to komandosi Putina, albo po prostu śpieszyli się na śniadanie. Czy była to prowokacja, czy zwykły pech mechaniczny – tego nikt nie wie. Pewne jest tylko jedno: każda rosyjska łajba, która pojawi się na horyzoncie, automatycznie urasta w Polsce do rangi incydentu, od którego wstrzymujemy oddech, bo media i straż graniczna zawsze dorobią do tego własną epopeję.

▮ W listopadzie Polska dorzuci coś swojego do kosmicznego śmietnika – pierwsze satelity wojskowe (czytaj: szpiegowskie). Minister obrony Kosiniak-Kamysz obiecuje, że będą podglądać w dzień i w nocy, nawet przez chmury. Wyprodukowała je polsko-fińska firma Ice Eye, a w kosmos wystrzeli je oczywiście nie Polska, tylko Amerykanie z Przylądka Canaveral. Decyzję o przyśpieszeniu programu podjęto po tym, jak rosyjskie drony wlazły nam do ogródka we wrześniu. Teraz już będziemy wiedzieć dokładnie, kto nas straszy, ale dalej niewiele z tym zrobimy.

▮ Polska wzięła na raty 366 Abramsów, bo jak już robić wrażenie, to gąsienicą po kostce. Pierwsze 38 sztuk M1A2 zajechało we wrześniu 2025 r., reszta dojedzie do jesieni 2026. Jest tylko drobiazg: te cacka mają silniki lotnicze AGT1500C. Najbliższy serwis? Za oceanem, w Anniston Army Depot w Alabamie. Na etapie podpisywania kontraktu nikt w Polsce ani w Europie nie wpadł na pomysł, że dobrze byłoby mieć kompetencje naprawcze. Skutek: silniki będą latać do USA samolotami. Ale bez paniki. Sztab Generalny już pracuje nad strategicznym rozwiązaniem.

▮ W miejscowości Wielki Łęck (woj. warmińsko-mazurskie) natrafiono na niezidentyfikowany obiekt latający (Unidentified Flying Object = UFO). Według świadka, operatora kombajnu, przypominał cygaro. Nie dymił, leżał w kukurydzy. Na miejscu pojawiła się żandarmeria wojskowa i policja, pod czujnym okiem prokuratora. Kosmici już też się nas czepiają?

▮ Bilans ostatnich wyborów prezydenckich można liczyć nie tylko w procentach poparcia, ale i w złotówkach. Jeśli podzielić budżety komitetów przez liczbę zdobytych głosów, okazuje się, że najtaniej „kupiła" swoich wyborców Joanna Senyszyn – za 34 gr sztuka. Trochę drożej wypadł Adrian Zandberg – 1,05 zł za głos. Na drugim końcu skali znalazł się Szymon Hołownia, który na każdego wyborcę wydał aż 8,16 zł. Najwięksi gracze – Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski – poszli niemal łeb w łeb, wydając po około 24,6 mln zł. Nawrocki zapłacił za głos 2,32 zł, Trzaskowski – 2,40 zł. Wyraźnie widać, że porażka Senyszyn to błąd historii. Byłaby naprawdę tanim prezydentem, a nie kimś, kto zaczyna rządy od zakupu wypasionej Beemwicy.

▮ Do prezydenta Karola Nawrockiego trafiła petycja o likwidację monet jedno- i dwugroszowych, przygotowana przez studentów Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Młodociani ekonomiści wyliczyli, że produkcja jednogroszówki kosztuje 2 grosze, a dwugroszówki to ho, ho! Prezydent poparł pomysł, uznając go za rozsądny, wskazując na wysokie koszty produkcji najmniejszych nominałów, które przewyższają ich wartość. W obiegu znajduje się ponad 17,3 mld sztuk tych monet. Zatem Polska myśl ekonomiczna triumfuje. Oto są wyżyny sięgające Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla.

▮ Jarosław Kaczyński podczas wystąpienia we Wrocławiu kpił z Romana Giertycha, stwierdzając: „Koń to jego wygląd". Giertych odpowiedział w mediach społecznościowych, że konie to piękne stworzenia i dorzucił ironicznie i z nutą homoseksualizmu, iż zazdrości Kaczyńskiemu, że jest „pięknym mężczyzną". No cóż, Kaczyński powiedział wprost to, co i tak każdy wiedział, natomiast z Giertychem trudno się w wypowiedzianej kwestii zgodzić.

▮ W Krakowie trwa fala grupowych zwolnień. Od początku 2025 r. pracę straciło już ok. 4 tys. osób, a kolejne redukcje zapowiadają duże firmy. Shell planuje likwidację 250 etatów (pracownicy obawiają się nawet 800), Heineken przenosi część działalności do Indii (utrata 500–700 miejsc pracy), a Aldi zamierza zwolnić ok. 100 osób. Według Grodzkiego Urzędu Pracy, od stycznia do września zamiar zwolnień grupowych zgłosiło 29 firm. Najbardziej dotknięte są branże: IT, księgowość, doradztwo podatkowe oraz obsługa klienta. A nie mówiłem (patrz: „NIE", nr 39/2025, str. 9)!

▮ Czeski portal Seznam Zprávy sprawdził ceny w Lidlu w Polsce, Czechach i Niemczech. Wnioski? Od 2022 r. koszyk 27 produktów podrożał w Polsce o 32 proc., w Czechach o 24 proc., a w Niemczech tylko o 20 proc. Efekt jest taki, że najtaniej zakupy robi się dziś… u zachodnich sąsiadów. No cóż, wszędzie dobrze, ale w Niemczech najtaniej.

▮ Prokuratura Regionalna w Łodzi postawiła zarzuty oszustwa dwóm byłym dyrektorom biura maklerskiego banku. W grze jest 300 mln zł strat i 1200 poszkodowanych klientów. Cała sprawa dotyczy certyfikatów funduszy inwestycyjnych, które działały jak klasyczna piramida finansowa. Podejrzani oczywiście nie przyznają się do winy (jak Janusz Palikot). Grozi im 10 lat więzienia. Zarzuty usłyszeli też trzej prezesi i dyrektor innego banku, którzy „tylko" źle policzyli ryzyko i dołożyli kolejne 4,9 mln zł w plecy. I teraz proszę bardzo: gdzie tu sprawiedliwość? Palikot przytulił marne 70 baniek i huk był taki, że słychać go do dziś. A tutaj 300 mln poszło z dymem i nawet nazwy banku oraz funduszy prokuratura nie podaje. To naprawdę nieodpowiedzialne – bo jak ludzie mają nie stracić zaufania do sektora bankowego, skoro zaczynają podejrzewać, że może tu chodzić o normę, a nie wyjątek?

▮ W hotelu MOSiR w Wolsztynie znaleziono martwą 25-latkę i jej 28-letniego partnera Patryka „Jagodziankę", internetowego twórcę. Kobieta zginęła od licznych ran zadanych ostrym narzędziem, a sam „Jagodzianka" zmarł później w szpitalu, zakłuwając się tym samym narzędziem – tryumfuje (przepraszam informuje) prokurator Łukasz Wawrzyniak z Prokuratury Okręgowej w Poznaniu. Dzięki temu państwo oszczędzi sobie długiego procesu i lat utrzymywania kolejnego osadzonego na koszt podatnika. Odpoczywaj w pokoju, Patryku „Jagodzianko".

▮ Gliwicka policja odebrała dramatyczne zgłoszenie: porwano kobietę. Wskazane miejsce, dokąd wysłano patrole, okazało się puste (co w sumie logiczne). Poszukiwania trwały ponad 10 godzin. Ofiarę odnaleziono w końcu daleko od miejsca porwania – w jednym z domków jednorodzinnych. Była cała, zdrowa, bez śladów przemocy. 53-letnia obywatelka Ukrainy przyznała, że całą historię wymyśliła pod wpływem alkoholu. Miał to być żart, bo sądziła, że nikt nie potraktuje tego poważnie. Nabzdryngolony człowiek nie takie rzeczy potrafi wyczyniać, no nie?

▮ W Tatrach jak to w Tatrach – znów tragedia. Tym razem w rejonie szczytu Gerlach (2655 m n.p.m.) zginął 54-letni turysta z Polski. Grupa wspinała się zachodnią ścianą, a mężczyzna spadł ok. 200 m w stronę Doliny Batyżowieckiej. Na miejsce poleciał śmigłowiec Horskej Záchrannej Služby, ale nie udało mu się pochwycić spadającego taternika w locie. Walnął w glebę. Ciało przetransportowano w dół, a trzech pozostałych wspinaczy, którzy nie potrafili już zejść, zabrano helikopterem do Starego Smokowca. Tak to jest: w Zakopanem i okolicach niemal co tydzień dzieje się coś „ze światem". Ta rubryka dostarcza na to niezbitych dowodów.

RJ

PS Powyższe informacje pochodzą z prasy lokalnej. W różnych regionach różnie się rozumie „prawdę obiektywną", więc warto podchodzić do nich z dystansem i nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Nie odpowiadamy prawnie ani cywilnie za ich treść ani sens.

eprasa.pl b28e03b806

Normalny tydzień w urzędniczym piekle

Nabity w NIP

Jestem reprezentantem prawnym potężnej fundacji o dalekosiężnych celach i jeszcze dalszych ideałach. Potężnej, choć póki co mieszczącej się w szufladzie wirtualnego biura na Mokotowie. To tylko etap przejściowy – w swoim czasie huknie na pół Europy. Nasza młoda, ambitna organizacja stoi na trzech filarach: prawo, nieskazitelność moralna i publiczne dobro.

Piątek, godz. 8.47

Śpię sobie smacznie, aż tu nagle telefon. Z drugiej strony pan Bartosz – tak się przedstawił – inspektor z Urzędu Skarbowego Warszawa-Mokotów. Jeszcze nie zdążyłem otworzyć oka, a już słyszę, że jestem kryminalistą. Otóż, jak twierdzi rozmówca, toczy się przeciwko mnie postępowanie karno-skarbowe zagrożone karą do 100 tys. zł. Sto tysięcy! O takiej kwocie nawet nie śniłem, a tu proszę – fundacja ledwo zarejestrowana, a już wyceniają moje winy w sześciocyfrowej skali.

Pierwsza myśl: wariat albo oszust. Pytam więc ostrożnie, czy pan Bartosz naprawdę dzwoni z urzędu skarbowego. Coś tam się tłumaczy – wierzę, nie wierzę – a on dalej swoje: że konieczna jest moja natychmiastowa obecność w urzędzie, najlepiej za trzy godziny. Odpowiadam, że absolutnie nie mogę. Dziś mam wielkie święto: wymieniają mi gazomierz. Ale, pytam przy okazji, w czym konkretnie tkwi moja zbrodnia skarbowa. Wychodzi szydło z worka: brak aktualizacji danych NIP organizacji.

Zastanawiam się. Przecież NIP nadaje się automatycznie przy rejestracji. Więc o jaką aktualizację chodzi? Ale pan Bartosz uparcie twierdzi, że tak, że trzeba, że inaczej kara i że spotykamy się w poniedziałek o 12.30 w urzędzie.

Fundacja nie prowadzi działalności gospodarczej, a z rządowych stron wynikało, że NIP-8 (aktualizujący) składają tylko spółki i przedsiębiorcy. Ustawa też tego jasno nie mówiła, portale prawnicze pisały o „jednym okienku" przy zakładaniu firm. Uznałem więc, że to naciągacz, ale po oddzwonieniu odebrał ten sam człowiek, faktycznie z urzędu. Usłyszałem, że NIP-8 składają wszystkie podmioty z KRS, „bo tak napisano w nagłówku formularza". Delikatnie zauważyłem, że formularze nie są źródłem prawa. Stanęło na tym poniedziałku.

Do poniedziałku trzeba coś zrobić, więc w ruch idą zaprzyjaźnieni prawnicy i księgowe. Jedni mówią: „Tak!", drudzy: „Nie!". Ostatecznie radzą złożyć czynny żal z argumentami o niejasnych przepisach, „jednym okienku" i znikomej szkodliwości oraz jak najszybciej wysłać NIP-8 elektronicznie.

I tu zaczyna się absurd. Formularza nie da się normalnie wypełnić, zostają e-Deklaracje. Całą sobotę walczę bez skutku: system Ministerstwa Finansów wymaga skrzynki pocztowej i równocześnie jej zabrania. Cokolwiek wpiszę, jestem winny. Pewne jest tylko to, że to formularz zwariował. Donoszę więc o usterce do Ministerstwa Finansów, ale tam cisza.

Plan awaryjny jak z PRL: wydrukować formularz NIP-8, wypełnić ręcznie, zeskanować, zmniejszyć PDF, podpisać profilem zaufanym i wysłać przez ePUAP. Dla mnie, próżniaka, to zabawa, ale dla protetyka czy fryzjera – powód do samobójstwa na torach.

Poniedziałek, godz. 12.10

US Warszawa-Mokotów. Pierwszy raz od narodzin wolnej Polski przekraczam próg skarbówki i to od razu z nie lada zarzutami. Ściany mówią same za siebie. Czytam z niedowierzaniem, że według Business Center Club to właśnie ten urząd od wielu lat jest „najbardziej przyjazny dla przedsiębiorcy". Podpisane przez świętej pamięci Marka Goliszewskiego. Myślę sobie: jeśli to jest przyjazny urząd, to nie chciałbym spotkać wrogiego. Ogólnie: skromnie, ale dostojnie, jak w klasztorze.

Na spotkanie nie przychodzi inspektor Bartosz, tylko zastępca. Podajemy sobie ręce. On – z miną człowieka, który uścisnął już setki takich dłoni i doskonale wie, że każdy podatnik zaczyna rozmowę od tego samego: „Ale o co właściwie chodzi?".

Nie udaję głupiego. Na stół ląduje czynny żal wysłany wcześniej via ePUAP, obok niego składam wydrukowany i zeskanowany NIP-8. Wyjaśniam epopeję okoliczności. Urzędnik, naprawdę bardzo miły, kiwa głową i mówi: – No tak, tylko że na czynny żal to już za późno.

Okazuje się bowiem, że urząd rozpoczął postępowanie „w kierunku czynu zabronionego". Podobno wysłano do mnie list. Zaczynają się schody: mandat albo tryb zwykły, czyli sąd. A to lata posiedzeń, tysiące wydane na adwokatów i grzywna, która zaczyna się od 20 tys. zł, a kończy pewnie na sprzedaży nerki. Próbuję rozegrać kartę rozsądku: proponuję odstąpienie od ukarania i poprzestanie na pouczeniu. Miły urzędnik wciąż z tym swoim spokojnym uśmiechem odpowiada: – Niemożliwe. Kodeks karny skarbowy tego nie przewiduje. Przyjmuje pan mandat?

Patrzę na biurko i widzę co najmniej kilkanaście identycznych wniosków o ukaranie. To nie jednostkowa sprawa, to epidemia! Dociekam więc, skąd tyle pomyłek, skoro sprawa jest niby tak oczywista.

– Nawet doświadczone księgowe robią błędy w tej materii – przyznaje urzędnik. A więc nie tylko ja! To znaczy, że absurd stał się systemowy. Powszechna wiedza o „jednym okienku" prowadzi wszystkich na manowce, a urząd zamiast coś z tym zrobić, wali grzywnami.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

– Takie są przepisy – słyszę lakoniczną odpowiedź. – Grzywna albo sąd.

Z miną pokerzysty czekam cierpliwie na kwotę. Wreszcie pada: 500 zł. Siedzę rozdarty: pragmatyka czy zasady? Portfel czy godność? Ostatecznie proszę o dzień namysłu. Urzędnik kiwa głową ze zrozumieniem. Rozstajemy się w atmosferze zaskakująco przyjaznej. Jak dwaj gracze, którzy właśnie zakończyli pierwszą połowę meczu i wiedzą, że druga część dopiero przed nimi.

Sztab kryzysowy znów w akcji: telefony rozgrzane, analiza orzecznictwa z lupą i kawą. Fakty są po naszej stronie: brak uszczuplenia, działanie bezzwłoczne, obowiązek naprawiony, szkodliwość znikoma. Teoretycznie można umorzyć, ale sąd może stwierdzić, że zawracam mu głowę drobnostką, którą dałoby się załatwić mandatem 500 zł – czyli pieniactwo.

Mandat uwiera – zostanie wpis w papierach, a konsekwencje niepewne. Poza tym chodzi nie tylko o mnie, lecz o interes społeczny: jeśli urząd zamiast poprawić system, wali mandatami, ktoś musi zaprotestować. Decyzja: sąd. Ale najpierw – ponowny wniosek o pouczenie z mocniejszą argumentacją prawną.

Wtorek, godz. 12.30

Ten sam urząd. Tym razem na scenę wchodzi sam Pan Bartosz i, przyznam, na żywo zyskuje. Uścisk dłoni, miły, prowadzi mnie znów do pokoju przesłuchań. Rozpoczyna się wymiana argumentów. Po jednej stronie paragrafy i kodeks karny skarbowy, po drugiej – ja i mój zdrowy rozsądek. Z ust inspektora padają słowa o „przestępstwie skarbowym do stu tysięcy" albo „mandacie". Szybko okazuje się, że dziś to już nie 500 jak wczoraj, tylko równo 1000 zł. Inflacja w czystej postaci – 100 proc. w jeden dzień!

Twierdzę, że złożę oficjalną prośbę o pozostaniu przy pouczeniu, a jeśli nie, to proszę kierować sprawę do sądu. Zauważam przy tym, że coś tu nie gra: wczoraj 500, dziś 1000. Urzędnik na to, że ja się mylę, bo przecież było… 5000. I wtedy dzieje się coś, czego do dziś nie potrafię wytłumaczyć. Pan inspektor proponuje najniższy możliwy mandat: 467 zł. Coś w tej liczbie musiało być magicznego. Może to ta dziwna precyzja, jakby wyszła prosto z algorytmu fiskusa? Nagle tracę całą bojowość. Zgadzam się na przyjęcie mandatu, choć wciąż nie zgadzam się z jego zasadnością. Do dziś nie wiem, jak to się stało. Faktem jest, że mandat został wypisany, ja podpisałem, i dostałem siedem dni na zapłatę.

Na koniec pytam jeszcze, czy to oznacza, że sprawa jest zamknięta, a NIP-8 skutecznie złożony. Pan inspektor kiwa głową. – Tak.

Wychodzę z urzędu z mieszanymi uczuciami – trochę zwycięzca, trochę pokonany, a trochę jak klient, który dostał w restauracji nie to danie, które zamawiał, ale zjadł, bo i tak był głodny. Do domu dojeżdżam około godz. 15.00, siadam przy biurku, myślę: „Koniec, po wszystkim".

Nagle telefon. – Tu Urząd Skarbowy Mokotów, mówi pan Piotr. – Musi pan złożyć NIP-8.

– Ale przecież już złożyłem! – protestuję.

– Tak, tylko źle. W rubryce B.4 powinien pan wpisać adres prowadzenia działalności.

– Ale ja nie prowadzę działalności.

– No, nie prowadzi pan, ale działa…

Zachowując resztki spokoju pytam, czy mogę przyjechać dziś. – Nie, zamykamy. – To jutro? – Tak, proszę zadzwonić, to pana przyjmę – i podaje numer telefonu.

Środa, ok. godz. 11.00

Przejeżdżam znów do US – zaczynam się już tam czuć jak stały klient kawiarni. Składam po raz kolejny ten nieszczęsny formularz – całe szczęście, że dzień wcześniej odruchowo zabrałem z półeczki urzędu druk, który „na pewno nie będzie już potrzebny". Bach – pieczątka na kopii. Kilka grzecznościowych zdań: „każdy popełnia błędy", „no trudno", „ważne, że teraz już wszystko jest w porządku". – Do widzenia.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

No ale mandat też trzeba zapłacić. Przelew bankowy – prościzna, myślę naiwnie. Loguję się do systemu banku Millenium, wpisuję dane US Warszawa-Mokotów, klik – i nagle system rozpoznaje to jako należność podatkową i kieruje do Urzędu Skarbowego w Opolu.

Patrzę jeszcze raz: mam jak byk napisane Warszawa, Mokotów, numer konta zupełnie inny, a system uparcie twierdzi, że moje pieniądze muszą pojechać do Opola. Jedenasty raz próbuję i za każdym razem to samo. W końcu desperacja: piszę do banku Millenium przez formularz kontaktowy, pytając, dlaczego nie mogę wysłać mandatu tam, gdzie trzeba. Po kilku godzinach przychodzi odpowiedź: „Wszystkie mandaty idą na Opole". Ripostuję: „Ale mój nie jest policyjny, tylko skarbowy!". Skanuję mandat i wysyłam jako dowód. Odpowiedź: „Wszystkie mandaty, także policyjne, idą na Opole". Riposta numer dwa: „Ale mój jest skarbowy, nie policyjny". Cisza. W końcu komunikat: „Zgłaszamy usterkę, proszę o cierpliwość. Wyjaśnimy w trzy dni robocze".

Liczę w pamięci: trzy dni robocze plus weekend – już dawno po terminie siedmiu dni na zapłatę. A wtedy system wrzuci mnie w tryb egzekucji komorniczej.

Czytam mandat: „przelewem albo w kasie urzędu". Ha, jest szansa. W czwartek pożyczam od mamusi gotówkę i jadę na Mokotów.

– Gdzie jest kasa? – pytam w recepcji.

– Nie ma. Proszę do okienka drugiego. Tam Panu pomogą.

Czekam, podchodzę, wyciągam pieniądze.

– Gotówki nie przyjmujemy – słyszę.

Cóż, życie bywa brutalne. Ale nie poddaję się.

– Mam kartę – mówię twardo.

–Terminal się zaciął, a nawet gdyby działał, mandatów i tak kartą nie przyjmujemy. Musi pan przelewem.

Tłumaczę, że próbowałem, bank nie przepuszcza.

– Może się zawiesiło.

– Nic się nie zawiesiło! – syczę.

Po chwili pojawia się specjalistka:

– W systemie trzeba wybrać nie „mandat", tylko „GS" – grzywna skarbowa.

– A jak nie? – pytam.

– To można na poczcie.

– Na poczcie? Jest pani pewna?

– Tak.

W końcu przelew przechodzi przez bank. Sprawa wydaje się zakończona. Chodzi jednak o to, że przez sześć dni kilku ludzi – i podludzi takich jak ja, czyli w miarę ogarniętych, ale jednak – było zaangażowanych w to, aby skarb państwa dostał swoje 467 zł. I to wcale nie takie pewne, że mu się należało.

Fiskus plus, społeczeństwo minus

My, rzecz jasna, nic nie straciliśmy, bo zajmujemy się próżniactwem i cierpimy na chroniczny nadmiar czasu. Ale jeśli zjawisko jest powszechne, to wygląda na to, że w tym samym czasie jakaś pracownia protetyczna wstrzymała przyjmowanie pacjentów, nowo otwarty warsztat samochodowy nie naprawiał aut, a fryzjer zamiast strzyc, siedział i klikał w ePUAP.

Skarb państwa zarobił, ale społeczeństwo straciło. Cała operacja przypomina sytuację, w której pięciu ludzi łapie jednego komara – niby sukces, bo komar zabity, tylko że przez ten czas nikt nie zdążył posiać, zbudować ani naprawić.

A na koniec: jakie to bezcenne informacje uzyskał aparat skarbowy dzięki NIP-8? Otóż w moim przypadku numer rachunku bankowego i adres strony internetowej. Czyli dokładnie to, co każdy urząd, bank i nastolatek może znaleźć w trzy minuty w Google.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl b28e03b806

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Roman Fritz, poseł Konfederacji Korony Polskiej, wylał w social mediach gorzkie żale w związku z zapowiadaną na 25 października halloweenową imprezą techno w jednej z rybnickich świątyń. Wydarzenie kulturalne odbędzie się w kaplicy św. Juliusza, która do 2001 r. funkcjonowała jako kaplica przyszpitalna, a wraz z zamknięciem placówki została zdesakralizowana – czyli oficjalnie uznana przez Kościół za miejsce, które nie służy celom kultowym. Ponieważ obiekt popadał w ruinę, archidiecezja zdecydowała się przekazać kaplicę zarządowi Fundacji na Rzecz Ochrony Dóbr Kultury. „Środowisko tradycji katolickiej w Rybniku apelowało w katowickiej kurii o zmianę decyzji, przestrzegając, że odtąd w kaplicy może wydarzyć się de facto wszystko, z kultem szatana włącznie. No i masz!" – napisał na platformie X poseł Fritz. Mamy nadzieję, że rybnicki incydent wyznaczy stały trend przerabiania obiektów sakralnych na cele użyteczności publicznej.

✚ Po raz pierwszy w dziejach na czele Kościoła Anglii stanęła kobieta. Sarah Mullally została zatwierdzona przez króla Karola III jako 106. arcybiskup Canterbury. Z królewską decyzją nie zgodził się ksiądz Daniel Wachowiak z archidiecezji poznańskiej. „Kobieto, nie jesteś ani biskupem, ani tym bardziej następcą biskupiego tronu św. Augustyna. Ta stolica ma wakat po śmierci ostatniego prawowitego pasterza Canterbury – biskupa Kościoła rzymskokatolickiego" napisał na platformie X ks. Wachowiak, potwierdzając tym samym, że koloratka woli prącie.

✚ Kapelan radomskiego szpitala ks. Krzysztof A. i zatrudniony tam lekarz Piotr M. trafili do aresztu w związku z handlem lekami psychotropowymi i odurzającymi. Według ustaleń Prokuratury Rejonowej w Nowym Targu przestępczy proceder trwał od 2023 r. i obejmował masową dystrybucję leków na receptę, w tym fentanyl, oksykodon, morfinę, alprazolam i tramadol. Podejrzani wykorzystywali recepty wystawiane przez lekarza do nielegalnej sprzedaży, a paczki z prochami wysyłano pocztą kurierską – również za granicę. Śledczy zabezpieczyli blisko 7 tys. tabletek i plastrów z narkotycznymi substancjami. Aresztowani mężczyźni, wraz z pięcioma innymi podejrzanymi, staną przed sądem – grozi im do 12 lat pierdzenia w pasiaki.

✚ Funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali 12 osób, w tym proboszcza parafii powiatu mińskiego w związku ze śledztwem dotyczącym fikcyjnych darowizn na parafię. Zatrzymani, składając organowi podatkowemu roczną deklarację na podatek dochodowy za dany rok, mieli podawać w nim nieprawdę co do rzekomego dokonania darowizn na rzecz jednej z parafii na terenie powiatu mińskiego. Pieniądze przelane przez „darczyńców" na rachunek bankowy parafii były później zwracane w gotówce, w pomniejszonej kwocie. Klecha, wystawiając stosowne dokumenty, miał potwierdzać otrzymywanie lewych datków na cele kultu religijnego, co pozwalało na obniżenie podatku dochodowego kreatywnych filantropów. Straty skarbu państwa wynikłe z tego procederu oszacowano na 2 mln 600 tys. zł. Śledztwo jest w toku.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



Rys. WIDGET

Transfery między wójtem a plebanem

Z ziemi polskiej na rzymską



Rys. JANUARY

Jak na partię założoną przez niedoszłego dominikanina Polska 2050 całkiem sporo energii poświęca sprawom świeckiego państwa. Wprawdzie głównie w zapowiedziach, deklaracjach i projektach, ale jednak. Hołownia wywodzi się ze środowisk bliższych raczej „Tygodnikowi Powszechnemu" niż Rydzykowi, a tzw. otwarci czy liberalni katolicy chętnie widzieliby utemperowany kler, oczywiście pod warunkiem, że nie jest to przedstawiciel ich salonu. W maju marszałek sejmu zaprezentował raport NIK opisujący przepływy pieniędzy między państwem a związkami wyznaniowymi. Wyliczono tam, że w latach 2021–2023 między instytucjami państwa i Kościołami – głównie katolickim – przewinęło się 17,5 mld zł, oczywiście w stronę Kościołów. Teraz zaś przedstawiciele partii (w coraz mniejszym stopniu) Hołowni chcą zakazać nieodpłatnego przekazywania ziemi i nieruchomości Kościołowi przez wojewodów.

Polska 2050 postuluje, aby wykreślić art. 70a ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego. Zaczyna się on tak: „Osobom prawnym Kościoła katolickiego, które po dniu 8 maja 1945 r. podjęły działalność na Ziemiach Zachodnich i Północnych, mogą być, na ich wniosek, przekazane nieodpłatnie na własność grunty znajdujące się w zasobach Państwowego Funduszu Ziemi albo w Zasobie Własności Rolnej Skarbu Państwa. Jeżeli grunty te znajdują się w zarządzie lub użytkowaniu osób prawnych, przekazanie na własność może nastąpić wyłącznie za zgodą tych osób". Dalej jest o tym, ile się komu należy. Wojewoda może przekazać instytucjom kościelnym z Zasobów Własności Rolnej Skarbu Państwa tyle ziemi, żeby wielkość gospodarstwa w całości nie przekraczała w przypadku: parafii 15 ha, diecezji – 50 ha, seminarium – 50 ha i klasztoru – 5 ha.

Kościół jak zwykle wywalczył sobie furtkę do wyciągania zasobów ze wspólnego kotła. We wprowadzonej w 1991 r. nowelizacji ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego chodziło o to, że rząd Bieleckiego wystraszył się masowych wniosków o zwrot upaństwowionych w 1959 r. nieruchomości na Ziemiach Odzyskanych, więc dał Kościołowi zapis o możliwości podarowania ziemi przez wojewodę. Gdyby zasądzono Kościołowi, inni też by chcieli, a tak zatkano biskupom buzię. Kler oczywiście wykorzystał tę szansę po swojemu. Uczynił z art. 70a istne finansowe perpetuum mobile. – Projekt ustawy likwiduje możliwość przekazywania ziemi w tym trybie i umarza trwające postępowania. Koniec z nadużyciami, w których te same podmioty mogły otrzymywać grunty, sprzedawać je, a potem znów występować o kolejne działki – mówił na konferencji prasowej poseł Polski 2050 Rafał Kasprzyk.

– W trybie art. 70a ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego w Polsce, który umożliwiał nieodpłatne przekazywanie gruntów na rzecz osób prawnych Kościoła katolickiego działających na Ziemiach Zachodnich i Północnych po 8 maja 1945 r., w latach 1992–2024 Kościołowi przekazano 82 tys. ha, zaś 8 tys. ha otrzymały inne związki wyznaniowe – mówił Polskiej Agencji Prasowej prof. UAM dr hab. Maksymilian Stanulewicz. Badacz ów – nie żaden zaciekły antyklerykał – zwrócił uwagę, że art. 70a to tylko jeden ze sposobów podbijania przez kler polskiej ziemi. – Ponadto Komisja Majątkowa w ciągu 23 lat funkcjonowania przekazała kościelnym osobom prawnym 65,5 tys. ha ziemi i 143 mln 534 tys. zł odszkodowania, czyli ok. 60 proc. zabranego przez komunistów majątku – wylicza profesor i puentuje: – Niektórzy mówią nawet o 750 mln zł oraz zabudowaniach wartości około 5 mld zł. Tym samym Kościół katolicki otrzymał łącznie od państwa blisko 150 tys. ha, a więc dokładnie tyle, ile utracił w wyniku działania władz komunistycznych.

Prof. Stanulewicz przypomina też, że wbrew czarnej legendzie w czasach PRL Kościół wcale nie krzywdował. W zamian za normalizację stosunków prawnych z Watykanem w 1972 r., tzn. uznanie polskiej hierarchii na ziemiach poniemieckich, polskie władze hojnie wynagrodziły kler. – W dowód wdzięczności Edward Gierek wydał rozporządzenie rządowe, na mocy którego całość majątku posiadanego realnie przez Kościół katolicki na tych terenach przeszła na jego własność. Można zatem powiedzieć, że Gierek stał się w ten sposób największym donatorem Kościoła w Polsce od czasów Władysława Jagiełły – mówi badacz z UAM.

Zatem jakkolwiek liczyć, jesteśmy kwita. Mniej przychylni uważają, że

Kościół dostał dużo więcej, niż kiedykolwiek miał, a w dodatku ciągle coś dostaje w postaci bonifikat, dotacji, zwolnień i innych mniej lub bardziej legalnych myków.

Inne zdanie ma Ordo Iuris. Musiało zaboleć biskupów, bo Katolicka Agencja Informacyjna rzuciła się do torpedowania pomysłu Polski 2050. Można sobie debatować o aborcji, edukacji zdrowotnej czy innych fanaberiach, ale gdy przychodzi do spraw materialnych, episkopat wytacza cięższe działa. Dr Łukasz Bernaciński z Ordo Iuris tłumaczy w KAI, że tak naprawdę projekt jest bez znaczenia, bo z artykułu i tak już nikt praktycznie nie korzysta, więc po co to w ogóle procedować. – Na podstawie artykułu 70a w ostatnich trzech latach w 27 sprawach wojewodowie przekazali Kościołowi 144 ha gruntów. To pokazuje, że aktualnie artykuł ten ma marginalne znaczenie oraz że radykalnie zmieniła się praktyka jego stosowania – tłumaczy KAI.

Sam zaś dr Bernaciński wysnuwa teorię cokolwiek spiskową. Przypuszcza, że to zorganizowana akcja wymierzona w katolickie wartości pod przykrywką troski o państwo. – Warto zauważyć, że pojawia się tuż przed pierwszym czytaniem ustawy o obowiązkowym wyborze między religią a etyką w szkołach. Od lat 90. XX w. obserwujemy, że gdy tylko podejmuje się jakieś działania związane z obroną wolności religijnej, praw do religijnego wychowania dzieci itp., to zaraz widzimy wypowiedzi czy inicjatywy uderzające w finanse Kościoła. To wygodna narracja, która stawia Kościół w złym świetle, jako pazerny podmiot finansowany w nieuzasadniony sposób ze środków publicznych – snuje.

Pokazywanie Kościoła kat. w prawdziwym świetle to nie wygodna narracja, tylko smutna prawda.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Ćwiartka kremówki

Dzień, który ma 25 lat


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

My tu gadu-gadu, a tymczasem na horyzoncie kolejna rocznica papieska. 16 października minie 47 lat od wyboru Karola Wojtyły na papieża, zaś 12 października w polskim Kościele kat. święci się „Dzień Papieski" – obchodzony od 2001 r., połączony ze zbiórką na stypendia dla zdolnej młodzieży. Młodzież, Kościół, pieniądze i papież to połączenie ryzykowne, ale kler – za radą swego zmarłego w 2005 r. przywódcy – nie lęka się.

XXV Dzień Papieski obchodzony będzie pod hasłem „Św. Jan Paweł II. Prorok nadziei". Nie ma wszakże wielkiej nadziei na to, że pamięć o Wojtyle uda się przywrócić do poziomu znanego z początku XXI w.

Choć Dziwisz wciąż rozdaje relikwie po szefie i nadal nic nie pamięta o jego kryciu pedofilów, to Polacy wiedzą i pamiętają.

Biskupi sami już tracą nadzieję, że wrócą złote czasy, ale resztkami sił chwytają się JP2, który okazuje się brzytwą.

20 lat po śmierci papy rodacy wbijają mu szpile. Pastwienie się nad byłym szefem Watykanu przybrało na sile i w dodatku weszło do kin. Władysław Pasikowski, reżyser kultowych „Psów", nakręcił własną wariację na temat zamachu na papieża pod łopatologicznym tytułem „Zamach na papieża". Do szkalowania JP2 zaprzągł Bogusława Lindę. W warstwie scenariuszowej film nie jest jakoś wybitnie obrazoburczy – Pasikowski wraca do swoich ulubionych tematów i motywów. Jest więc Boguś Linda jako wypalony emerytowany funkcjonariusz służb, jest PRL-owski sztafaż, wódka i testosteron – słowem wszystko, co tygryski lubią najbardziej. Ale już nadanie esbeckiej akcji przeciwko ojcu świętemu pseudonimu „Paproch" – nie oszukujmy się – zakrawa na bluźnierstwo.

Reżyser idzie jednak jeszcze dalej. „Zamach na papieża" zadedykował… Sinead O'Connor. Zmarła w 2023 r. irlandzka wokalistka w świecie pozamuzycznym wsławiła się tym, że 3 października 1992 r. w telewizyjnym programie NBC „Saturday Night Live" nadawanym na żywo podarła zdjęcie Jana Pawła II. Wykrzyczała przy tym: „walczcie z prawdziwym wrogiem!". Było to jeszcze, zanim w Irlandii wybuchły skandale seksualne z udziałem księży, oraz przed tym, jak wyszły na jaw nadużycia w szkołach prowadzonych przez księży i zakonnice, co w ostateczności doprowadziło tamtejszy Kościół praktycznie do upadku. O'Connor podarła zdjęcie Wojtyły, bo kojarzyło się jej ze zmarłą matką, której – delikatnie mówiąc – nie darzyła szacunkiem. Po latach ten gest w oderwaniu od prywaty piosenkarki uznano za proroczy. Taki wyskok na początku lat 90. XX w. – u szczytu sławy polskiego papieża i siły Kościoła w Irlandii – był nie lada wyczynem.

Władysław Pasikowski poświęcił jej swój niby to niewinny film o papieżu. Zapytany o tę niecodzienną dedykację przez dziennikarza „Wyborczej", tłumaczył, że Sinead była „pierwszym głosem, ponieważ doświadczyła na sobie, wytrzymała, postawiła się najstarszej instytucji świata i zapłaciła za to najwyższą cenę. Ponieważ sobie zasłużyła na wieczną pamięć. Więc pamiętajmy". Czyli szkalowanie papieża i Kościoła pełną parą, i to w rocznicę! Być może ten przytyczek wymierzony w pamięć o JP2 jest dla polskich katolików zbyt subtelny, by go wyłapać. Ale wkrótce jakiś tuz prawicowej myśli dostrzeże ten niuans i zrobi porządną aferę oraz reklamę filmowi. Pasikowskiego okrzykną spadkobiercą Ali Ağcy, Lindę kolejnym pokoleniem esbeków i znów poczujemy się jak w domu.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl b28e03b806

Japońska wersja Trumpa idzie po zwycięstwo

Żelazna-san

W Japonii doszło do historycznego wydarzenia politycznego. 4 października na czele rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej (PLD) stanęła kobieta Sanae Takaichi. Wygrana w wyborach na lidera ugrupowania to nie tylko przełom genderowy w dalekim od równości płci Kraju Kwitnącej Wiśni, ale otwarcie drogi do zostania pierwszą kobietą na stołku premiera Japonii. Wbrew pozorom nie ma się jednak z czego cieszyć. Konserwatywno-nacjonalistyczna jastrzębica na czele czwartej gospodarki świata to zła wiadomość dla Europy.

Japońskie AfD

Globalny trend zainteresowania prawicowym populizmem wydaje kolejne owoce. Takaichi, długoletnią admiratorkę Margaret Thacher, trudno nazwać orędowniczką postępu. Nowa liderka PLD na dzień dobry obiecała rezygnację z lewackiego work-life balance, pokorę, walkę z inflacją, wyzwaniami dyplomatycznymi oraz imigracją. Wiewiórki donoszą, że jej wybór ma pomóc partii rządzącej odzyskać prawicowych wyborców sukcesywnie odpływających do skrajnie prawicowego ugrupowania Sanseito.

Takaichi, pieszczotliwie zwana twardogłową konserwatystką, jest członkinią ultranacjonalistycznej i ultrakonserwatywnej organizacji pozarządowej Nippon Kaigi, która działa jako lobbingowa grupa nacisku o charakterze ultraprawicowym. Organizacja ma ogromny wpływ polityczny, liczy około 38–40 tys. członków, w tym polityków, biznesmenów i intelektualistów. Promuje wizję Japonii jako silnego, tradycyjnego państwa, sprzeciwiając się „upokarzającej" narracji powojennej. Według ugrupowania Japonia odegrała pozytywną rolę w „wyzwalaniu" Azji Wschodniej spod kolonializmu zachodniego, masakrę nankińską (50 do 400 tys. ofiar) lobbyści nazywają przesadzoną lub sfabrykowaną, zaś przymusowe werbowanie kobiet pocieszycielek do seksualnej niewoli przez armię japońską uznają za wyssaną z palca.

Nowa przewodnicząca PLD jest przy okazji wiceprzewodniczącą innej grupy lobbingowej – związku Shinto. Organizacja łączy shintoistyczną duchowość z polityką, promując „japońskie wartości duchowe", w pakiet których wchodzą m.in. szacunek do cesarza, natury i szeroko pojętej tradycji, a ściślej mówiąc, sprzeciwia się małżeństwom jednopłciowym, odrębnym nazwiskom małżonków i roli cesarzowej.

Trzeba oddać Takaichi, że swoim poglądom jest wierna od dawna. W latach 90. wzięła udział w promocji książki, która nosiła tytuł „Strategia wyborcza Adolfa Hitlera. Biblia gwarantowanego zwycięstwa w nowoczesnych wyborach". Pozycja została wydana w maju 1994 r. przez Yoshio Ogiego, członka PLD. Takaichi napisała krótki komentarz zachęcający do lektury „Jak wskazuje autor, droga do zwycięstwa to »silna wola«. Z miłością i marzeniami o naszej ojczyźnie i rodzinnym mieście w sercu, młodzi ludzie, podejmijmy wyzwanie!". A to dopiero kawałek wachlarza poglądów potencjalnej pani premier, od których marszczy się dupa.

Trump moment

Liderka PLD, jak przystało na konserwę, często stosuje retorykę antyimigrancką, by dotrzeć do rosnącego w Japonii sentymentu nacjonalistycznego. Jej wypowiedzi rezonują z dobrze znaną nutą o deportacji „fałszywych uchodźców" i zagrożeniu ze strony obcokrajowców.

Donald Trump uświadamiał Amerykanów o zagrożeniach płynących z napływu obcego kulturowego cielca, opowiadając o diecie imigrantów opartej na konsumpcji kotów i psów. Sanae Takaichi postawiła na jelenie, które rzekomo miały być kopane przez turystów w Parku Nara. Może i została słusznie



Ilustr. PAWEŁ FERENC

oskarżona o sianie dezinformacji, ale za to wzmocniła swój konserwatywny look.

Choć Japonia ma minimalną populację muzułmańską, Takaichi głosi wszem i wobec, że nie zgodzi się na przyjęcie islamistów żądających prawa szariatu ani tych, którzy odrzucą japońską kulturę. Postuluje wprowadzenie surowszych ograniczeń imigracyjnych, by chronić japońskie dziedzictwo i zapobiec destabilizacji społeczeństwa – m.in. poprzez zakaz kupowania nieruchomości przez nierezydentów i masową deportację lewych uchodźców. Wszystko w celu obrony Japonii przed mityczną inwazją, mimo że kraj – podobnie ja wiele europejskich – zmaga się z problemem starzejącego się społeczeństwa i imigrantów zwyczajnie potrzebuje.

Jeśli komuś nie w smak poglądy przyszłej pani premier, powinien zachować opinię dla siebie. Takaichi, piastując za poprzedniej kadencji rządu urząd szefowej komunikacji, groziła już mediom odebraniem licencji za „stronniczość".

Kumpela Donalda

Żelazna dama Japonii stawia na wzmocnienie sojuszu japońsko-amerykańskiego. Jej priorytet dyplomatyczny „America first" w kontekście Azji prawdopodobnie zwiększy nacisk na konfrontację z Chinami, co idealnie koresponduje z protekcjonizmem i naciskiem na bilateralne zakusy Trumpa.

Polityczny romans Takaichi–Trump skupiony na Azji i Pacyfiku może pośrednio uderzyć w Europę, pogłębiając dysbalans w globalnej grze przez marginalizację w łańcuchach dostaw i inwestycjach.

Jeśli priorytetem Trumpa staną się interesy w Japonii, osłabnie jego zaangażowanie w Europie. Stary Kontynent dotknięty cłami amerykańskiego przywódcy może wyhuśtać się na rynku technologii.

Japonia jako modelowy partner USA skłonna jest ugrać niższe daniny, co wytrąci Europę z torów konkurencyjności (np. w zakresie cyberbezpieczeństwa, półprzewodników, produkcji chipów czy aut). Faworyzacja Azji, podczas gdy UE grożą 20–50-procentowe cła na stal i aluminium, może spowodować spadek unijnego PKB o 0,3 proc. i fragmentację handlu.

Planowana wizyta Trumpa w Japonii pod koniec października 2025 r. sugeruje, że amerykański prezydent ostrzy zęby na natychmiastowe negocjacje.

Nadzwyczajną sesję japońskiego parlamentu, podczas której posłowie wybiorą nowego premiera, zaplanowano na 15 października.

IDALIA DUBICKA

Izrael grilluje debatę

Relatywizacja to także specjalność polskich polityków

Wśród wielu technik manipulacji opinią publiczną znajduje się jedna o sympatycznie brzmiącej z angielska nazwie: whataboutism, czyli klasyczna retoryczna taktyka defleksji, gdzie zamiast odpowiedzieć na zarzut, kontruje się go innym przykładem, sugerując rozmówcy hipokryzję. Wszystkie składowe wyżej wspomnianej socjotechniki jak w soczewce skupia wojna w Strefie Gazy.

Proizraelscy komentatorzy w debatach politycznych czy mediach społecznościowych na temat ludobójstwa w Gazie, aby zasugerować, że krytyka Izraela wynika głównie z antysemityzmu lub selektywnego oburzenia, a nie z faktycznych naruszeń praw człowieka, często rzucają kontrargument, jakoby ich oponenci nie dostrzegali ofiar wojny w Syrii, na Ukrainie czy rzezi ludności w Darfurze.

Gdzieniegdzie przebijają się podśmiechujki z lewicowego wsparcia dla Palestyńczyków, którzy zrzucają gejów z budynków, choć to akurat spektakularna przemoc ISIS. Owszem, queerowość w Palestynie pozostaje tematem tabu, ale kryminalizacja homoseksualności opiera się na starych jordańskich i brytyjskich kodeksach karnych (tak, obowiązują tam oba). Zwraca się również uwagę na nierespektowanie praw kobiet w Palestynie. Oczywiście wszystkie te tematy poza pyskówką o szlachetnych celach przestępstw Izraela gówno obchodzą obrońców Netanjahu.

Społeczność międzynarodowa, która ostro krytykuje sposób, w jaki Izrael „broni się" w Gazie, w najlepszym wypadku postrzegana jest jako zbiór naiwnych ofiar antyizraelskiej kampanii propagandowej, naturalnie kreowanej przez Hamas. Pojawiają się hasła o moralnej asymetrii w percepcji ofiar, porównywane do starych schematów kolonialnych i antysemickich, tyle że szytych pod nowym szyldem izraelskiego antyimperializmu. Według Żydów ONZ ma jedynie mandat humanitarny, a nie analityczny, zatem Hamas swobodnie gra na jego uczuciach, wiedząc, że każda ofiara cywilna to medialna porażka Izraela.

To, wespół z przypominaniem o atakach Hamasu z 7 października 2023 r. (jakby ktoś mógł zapomnieć) i historycznej traumie Holocaustu, wzmacnia emocjonalną narrację kosztem faktów i odwraca uwagę od meritum, zamiast prowadzić do konstruktywnej debaty.

Whataboutism namiętnie uprawiają polscy politycy. W sierpniu wiceminister MSZ Władysław Teofil Bartoszewski zignorował raporty Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości o ryzyku ludobójstwa w Gazie, relatywizując je właśnie sprowadzeniem dyskusji do ataków i intencji Hamasu. W ten sam dzwon uderzył szef MSZ Radosław Sikorski.

– Gdyby Izrael chciał dokonać ludobójstwa, to by zajęło tydzień czy dwa. A to jest konflikt wywołany przez Hamas swoim bezprzykładnym aktem terroru wobec Izraela. I to jest wojna z Hamasem, przy której niestety ginie katastrofalna ilość ludności cywilnej – powiedział wicepremier 30 września na antenie radiowej Trójki.

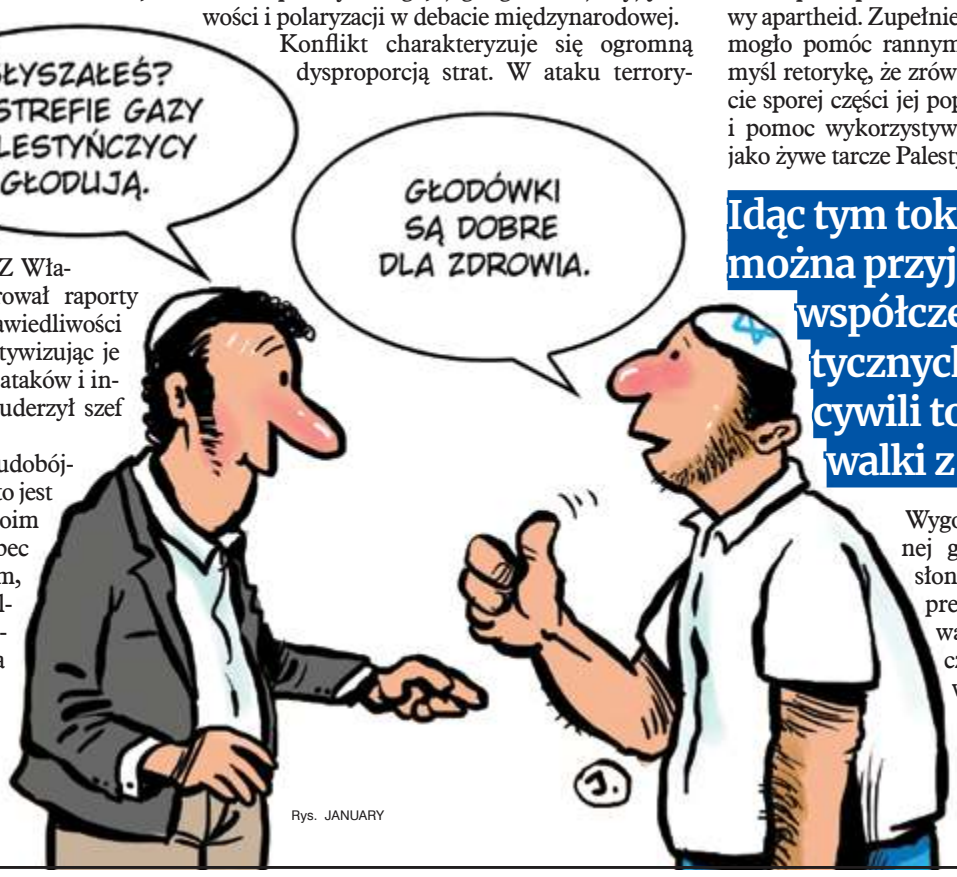
Tymczasem konsensus wśród ekspertów co do tego, że działania Izraela można nazwać ludobójstwem, jest coraz silniejszy. W połowie września niezależni eksperci na zlecenie Rady Praw Człowieka ONZ przeanalizowali to zagadnienie na podstawie działań Netanjahu w Strefie Gazy od niechlubnego października 2023 r. do 31 lipca 2025 r. i na podstawie dostępnych dowodów stwierdzili, że owszem, wyczerpują one znamiona ludobójstwa.

Wojna w Gazie wyróżnia się w kontekście whataboutismu z kilku powodów, które wynikają z – można rzec – unikalnego charakteru antagonizmu izraelsko-palestyńskiego, jego globalnej wyjątkowości i polaryzacji w debacie międzynarodowej.

Konflikt charakteryzuje się ogromną dysproporcją strat. W ataku terrorystycznym Hamasu zginęło ok. 1200 osób, podczas gdy izraelskie operacje odwetowe pochłonęły ponad 65 tys. ofiar, w tym ok. 19 tys. dzieci. Gaza wskutek izraelskiej blokady od 2007 r. jest praktycznie odcięta od świata. Taki stan rzeczy pozwala proizraelskim komentatorom na selektywny wybór narracji i manipulację.

Wreszcie Izrael jest konsekwentnie wspierany dyplomatycznie, finansowo i militarnie przez potężne Stany Zjednoczone.

Kiedy na początku września Afganistan nawiedziło katastrofalne w skutkach trzęsienie ziemi, wiele krajów zachodnich obawiało się odpowiedzieć na prośbę Międzynarodowego Komitetu Ratunkowego (pozarządowej organizacji zajmującej się pomocą uchodźcom i przesiedlonym) o wysłanie sprzętu medycznego z obawy o popsucie wizerunku przez pomoc reżimowi, który uprawia płciowy apartheid. Zupełnie jakby bojkotowanie talibów mogło pomóc rannym Afgankom. Przywodzi na myśl retorykę, że zrównanie Gazy z ziemią i wybicie sporej części jej populacji to walka z Hamasem i pomoc wykorzystywanym przez jego członków jako żywe tarcze Palestyńczykom.



Rys. JANUARY

Idąc tym tokiem myślenia, można przyjąć, że według współczesnych politycznych elit śmierć cywili to nowa forma walki z terroryzmem.

Wygodny argument w politycznej grze. Whataboutism to zasłona dymna, która ma osłabić presję na zbrodnie Netanjahu, ważnego geopolitycznego gracza, którego w mniemaniu wielu lepiej mieć po swojej stronie, nawet za cenę moralnej zgnilizny.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl b28e03b806

Bajki dla myślących

Spadek toksycznego półwiecza

Hegemon sam wyhodował opór przeciwko sobie

Każdy może się wkurwić, jeśli zostanie okradziony. A jeszcze bardziej, gdy ten złodziej stoi nad twoją głową z pałą bejsbolową w ręku i dyktuje, co i jak masz robić. To prosta prawda. Na dodatek ogólna. Obowiązuje nie tylko w indywidualnych przypadkach, ale dotyczy także państw w polityce międzynarodowej. No, jak choćby w przypadku bandyckiego państwa, które elegancko nazywano w ostatnim półwieczu „żandarmem świata", zasłaniając żenującą prawdę figowym listkiem „jedynego obrońcy demokracji". A my – Europa? Że niby co? Tylko staliśmy na czatach, kiedy ten „żandarm" walił bejsbolem po łbach swoich mniejszych braci? Ale niech nie dziwi was to, że prawie nie mamy szansy usłyszeć tej prawdy o polityce USA w zachodnich mediach ani nie możemy jej przeczytać w opracowaniach naszych „ekspertów" od geopolityki, bo jakże pomocnikowi bandyty krytykować bossa. USA – „strażnik demokracji"?! USA – „wartownik pokoju"?! To kit, jaki wciskają nam od dziesięcioleci – zwykłe bajdurzenie.

Ale przeciw bajdurzeniu wystąpić może bajka. Bajka dla myślących, jaką w twoim ulubionym, anarchizującym tygodniku opowiadam. A ponieważ bajka musi być prawdą z morałem, to prawdę znajdziesz poniżej, a morał podrzucę dziś taki: nie dziwcie się ludziska, że przemoc przemocą się odciska.

Widzimy świat w chaosie, chylący się ku wielkiej wojnie. Świat jednak nie popada w chaos sam z siebie – on reaguje na trwającą od pokoleń przemoc i wyzysk ze strony amerykańskiego hegemona. Dzisiejsze antyzachodnie sojusze i globalny wzrost prawicowego, nacjonalistycznego populizmu to nie są pierwsze przyczyny, ale bezpośrednia i zrozumiała odpowiedź na półwiecze amerykańskiej dominacji i agresji. To nie przypadek, że współczesny świat trzęsie się w posadach, a widmo wielkiej wojny znów staje się realne. Bezpośrednią i główną przyczyną tego globalnego rozchwiania jest trwająca od dziesięcioleci bezwzględna imperialna polityka Stanów Zjednoczonych.

Amerykański projekt imperialny, podszyty duchem nacjonalistycznej wyjątkowości i żądzą kontroli amerykańskiego kapitału nad globalnymi rynkami oraz zasobami, pozostawił za sobą krwawy szlak zniszczeń. Trzeba bowiem pamiętać, że źródłem imperializmu są przynajmniej dwie z trzech poniższych cech:

– kapitalizm – z powodu nieodłącznego od jego podstaw dążenia do eksploatacji zasobów i konieczności poszukiwania rynków zbytu,

– nacjonalizm – mentalnie i kulturowo dzielący ludzi na swoich i obcych,

– autorytaryzm – wyzwalający ambicje „wodzów" (co najlepiej widać w obecnej prezydenturze) i dający możliwości używania państwa do realizacji swoich celów i ideologii.

W Stanach Zjednoczonych ostatniego ponad półwiecza dostrzegam te wszystkie trzy zjawiska.

Krwawa kronika amerykańskiego imperializmu:

– Iran (1953) – CIA organizuje zamach stanu obalający demokratycznie wybranego premiera Mohammada Mosaddegha, który ośmielił się znacjonalizować ropę. Efekt? Przywrócenie absolutnej władzy krwawemu szachowi, którego tajna policja SAVAK szkolona była przez Amerykanów. To właśnie ta brutalna dyktatura wspierana przez USA zrodziła później rewolucję islamską i antyamerykański reżim ajatollahów – bezpośredni owoc amerykańskiej interwencji.

– Ameryka Łacińska – przez dziesięciolecia USA wspierały obozy śmierci i faszystowskie junty pod płaszczykiem walki z komunizmem. Od Pinocheta w Chile (po obaleniu i śmierci demokratycznie wybranego Salvadora Allende) przez brudną wojnę w Salwadorze i ludobójstwo Majów w Gwatemali amerykańskie pieniądze, broń i szkolenia utrzymywały przy władzy reżimy terroru, które miały tylko jeden cel: zabezpieczenie interesów amerykańskich korporacji.

– Irak (2003) – to apogeum amerykańskiego unilateralizmu. Inwazja oparta na „świadomym kłamstwie" o broni masowego rażenia, która zmiotła z mapy suwerenne państwo. Skutek? Setki tysięcy cywilnych ofiar, rozkwit Al-Kaidy, powstanie tzw. Państwa Islamskiego i kompletna destabilizacja całego regionu. Była to czysta agresja parakolonialna w XXI w., mająca na celu zastraszenie reszty świata i przejęcie kontroli nad strategicznymi zasobami.

– Libia (2011): Pod pretekstem ochrony cywilów USA i NATO przeprowadziły barbarzyńskie bombardowanie, które zrównało z ziemią najbogatsze i najbardziej stabilne państwo afrykańskie, doprowadzając do linczu i morderstwa przywódcy kraju. Efekt? Wojna domowa i potężny kryzys migracyjny, który wstrząsnął Europą.

To tylko kilka najjaskrawszych przykładów z długiej, haniebnej listy, na którą składają się również Wietnam, Kambodża, Jugosławia, Afganistan, Syria i permanentne wspieranie izraelskiej okupacji Palestyny nawet w obliczu dziejącego się teraz ludobójstwa. Obrazu dopełnić może kilka dziwnych wypadków samolotów prezydenckich i zamachów stanu w Ameryce Południowej. Każda z tych interwencji siała śmierć, rozpacz i nienawiść, która musiała w końcu wydać plon.

Świat się buntuje: prawicowy populizm i sojusze oporu pojawiają się jako reakcja obronna. Globalna fala antyestablishmentowego, często prawicowego populizmu oraz militaryzacja państw takich jak Rosja czy Chiny są przewidywalną reakcją na amerykański terror. Pogląd, że Rosja prowadzi „słuszną wojnę" z amerykańskim imperializmem, jest szeroko podzielany w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej. To nie jest poparcie dla rosyjskich działań, ale wyraz solidarności z każdym, kto stawia opór amerykańskiej tyranii. Rozwój takich międzynarodowych inicjatyw jak BRICS to ich zdaniem strategiczna konieczność – próba stworzenia świata wielobiegunowego, który położy kres amerykańskiej monokulturze politycznej i gospodarczej.

Tym zjawiskom towarzyszy bunt wewnętrzny społeczeństw Zachodu. Ludzie zmęczeni neoliberalną polityką, która niszczy ich miejsca pracy, zwracają się ku populistom. Ci, jak Donald Trump w USA czy skrajne partie w Europie, budują swój kapitał polityczny na odrzuceniu globalistycznego projektu elity waszyngtońskiej. To nie jest nienawiść bez przyczyny, to gniew skierowany przeciwko klasie rządzącej, która przez dekady prowadziła imperialną politykę bez oglądania się na koszty dla własnych obywateli.

Imperia, które tracą kontrolę, stają się najbardziej niebezpieczne. Ryzyko wojny światowej nie bierze się ze słabości, ale z „desperackiej próby" Zachodu pod przywództwem USA, by za wszelką cenę utrzymać swoją dominację.

Ta polityczno-militarna i finansowa dominacja przynosi gigantyczne zyski amerykańskim kapitalistom.

Dzisiaj ten opór uosabia między innymi Szanghajska Organizacja Współpracy, której przedstawiciele spotkali się 31 sierpnia w chińskim Tiencin na największym w historii szczycie państw stawiających opór dominacji USA. Ku przerażeniu Zachodu wśród uczestników znaleźli się Władimir Putin, Narendra Modi oraz przywódcy ponad 20 krajów. Nie ukrywali, że ich celem jest zademonstrowanie jedności Globalnego Południa wobec dominacji Zachodu. Organizacja ta obejmuje kraje liczące niemal połowę ludności świata, 60 proc. obszaru Eurazji i około 23 proc. globalnego PKB, ale poparcie dla uczestników spotkania w Tiencin jest na świecie większe i stale rośnie.

To amerykańska polityka imperialna stworzyła ten opór, a teraz ta sytuacja pcha świat ku konfrontacji, z której może nie być powrotu.

ANNA GRODZKA



Rys. MARCIN CHUDZIK

Trumpolandia

W USA nastąpiło „zamknięcie rządu". To tradycyjna amerykańska ceremonia, której narodziny datują się na lata 80. ubiegłego wieku, mająca na celu upewnienie wyborców, że dwie wielkie amerykańskie partie nadal się nienawidzą – a także umożliwienie prezydentom okazjonalnego seksu ze stażystką. Podczas zamknięcia rządu w 1995 r. Bill Clinton poznał Monikę Lewinsky. Było to możliwe, albowiem shutdown polega na tym, że kilkaset tysięcy pracowników federalnych przestaje przychodzić do roboty, gdyż wobec nieuchwalenia budżetu nie ma im z czego płacić – toteż ich pracę wykonują ci, którym się nie płaci, np. darmowi stażyści. Tegoroczny shutdown to efekt swoistego szantażu (acz w dobrej sprawie) zastosowanego przez demokratów, którzy odmówili przegłosowania prowizorium budżetowego, jeśli administracja nie cofnie brutalnych cięć w publicznym systemie ochrony zdrowia, przeznaczonym dla najuboższych. Donald Trump z typowym dla siebie talentem do zawierania porozumień odpowiedział wyprodukowanym przez sztuczną inteligencję filmikiem, na którym szef demokratów w kongresie Hakeem Jeffries występuje w sombrero i z wąsami, podczas gdy szef senacki Chuck Schumer wygłasza jakiś idiotyczny tekst („Nikt nas nie lubi"…) w rytm meksykańskiej muzyki. Jeffries jest czarnoskórym Nowojorczykiem, ale wśród przodków ma niewolników ze stanów Georgia i Virginia, więc zrobienie z niego Meksa nie było wcale rasistowskie. Co innego, gdyby Przywódca Wolnego Świata przyprawił mu kółko w nosie. Schumer jest Żydem, więc wolimy sobie nawet nie wyobrażać, co Trump mógłby mu doprawić.

W gronie komicznych postaci obecnej administracji złoty medal bez wątpienia przysługuje Przywódcy Wolnego Świata, ale na karku musi czuć gorący oddech Pete'a Hegsetha. Ulubiony przez Trumpa prezenter z telewizji Fox News został sekretarzem obrony, bo dwie dekady temu służył przez parę lat w Iraku i Afganistanie, a także w amerykańskim obozie koncentracyjnym w Guantanamo. Hegseth z dumą przemianował departament obrony na departament wojny, ale nie do końca – okazuje się bowiem, że taka zmiana wymaga ustawy Kongresu i 60 głosów w senacie, toteż „departament wojny" to ksywa, którą resort nadał sam sobie. Ogłaszając ten plan, Pet wydeklamował: *We're going to go on offence, not just on defence. Maximum lethality, not tepid legality. Violent effect, not politically correct* – co można z grubsza przetłumaczyć jako: „Będziemy w ofensywie, nie tylko w defensywie. Maksymalna śmiertelność, a nie letnia legalność. Brutalny efekt, a nie polityczna poprawność" – choć po angielsku brzmi dużo lepiej, bo się rymuje. Ostatnio Hegseth wezwał do Quantico wszystkich amerykańskich generałów i admirałów – 800 osób z całego świata, także z miejsc, gdzie obecnie toczy się wojna – żeby im powiedzieć, że nie mogą mieć nadwagi ani zarostu. U faceta, który tajne plany bombowego ataku na Jemen wysyłał przez komunikator internetowy do grupy, do której przez pomyłkę został dodany dziennikarz, nagła potrzeba kontaktu twarzą w twarz z całą amerykańską generalicją może zaskakiwać – ale pewnie chciał widzieć ich grube brodate mordy, kiedy będzie dostarczał tę druzgocącą wiadomość.

Z rzeczy poważniejszych: James Comey, dyrektor FBI, którego Trump wywalił w pierwszej kadencji za niedostatecznie żarliwą lojalność, ma stanąć przed sądem pod zarzutami krzywoprzysięstwa i utrudniania śledztwa podczas przesłuchania przed Kongresem pięć lat temu. Prokuratura twierdziła wprawdzie, że nie ma podstaw do postawienia Comeyowi zarzutów, ale Donald znalazł na to sposób: zastąpił opierającego się prokuratora swoją osobistą adwokatką, Lindsey Halligan. Lindsey jest specjalistką od ubezpieczeń, nigdy w życiu nie prowadziła sprawy przed sądem karnym, ale Trump ufa jej bezgranicznie. Zatrudnił ją po tym, jak pojawiła się na jednej z jego golfowych imprez w garniturze, co Donald uznał za ostateczny dowód profesjonalizmu. Sprawa Comeya wprowadziła niejaki zamęt w FBI. Kierownictwo biura chciało zaplanować popisowe aresztowanie: przeciągnąć byłego dyrektora przed kamerami, skutego, prowadzonego przez „wielkich, muskularnych" agentów w pełnym bojowym rynsztunku, z kamizelkami z kevlaru, tak żeby robił wrażenie małego i żałosnego. Pojawił się wszakże problem: Comey ma dwa metry wzrostu, więc agentów, którzy mogliby nad nim górować, nie ma zbyt wielu. A ten jeden, którego znaleźli w biurze w Waszyngtonie, odmówił udziału w cyrku i został karnie zawieszony za niesubordynację. Amerykanie muszą czuć się bezpiecznie, wiedząc, że FBI czuwa nad prawem i porządkiem, i rozprasza się bzdetami.

AWŁ

eprasa.pl b28e03b806

W Polsce zatrucie etanolem, to objaw zdrowia.

Fikcja wytrzeźwiająca

Izba wytrzeźwień to nie jest ani areszt, ani szpital. To relikt środkowoeuropejskiej schizofrenii instytucjonalnej, wymyślony w epoce, gdy jedynym dostępnym antidotum na alkoholizm była kawa zbożowa. Wprowadzone w 1956 r. jako odpowiedź komunistycznego państwa na powszechną pijatykę, „żłobki" funkcjonują do dziś. Trwają uparcie, choć nikt do końca nie wie, czym właściwie są. Żyją na obrzeżach systemu i moralności.

Bo to nie lecznica. Choć czasem jest tam lekarz, nie ma możliwości odtruwania, nie ma terapii. Jest za to monitoring, łóżka z twardym materacem, czasem pasy. Nie można dać jedzenia, bo ryzyko zakrztuszenia. Nie wolno zbyt dokładnie leczyć, bo brak sprzętu i ludzi. Formalnie osoba nietrzeźwa powinna być zbadana przez lekarza. W izbie lekarz czasem bada, czasem tylko wpisuje, że zbadał. Czasem nie wpisuje nic, bo wpisywał będzie ktoś inny, już po fakcie. Na papierze – wszystko gra. A na nagraniu – agonia.



Rys. KRZYSZTOF ŚLEJNIK

Śmiertelne otrzeźwienie

Pan Andrzej trafił do izby w Pile w sobotę wieczorem. Był tak pijany, że kontaktu nie było. Przejął go duet sanitariuszy – 65-letni Mirek i 62-letni Rysiek oraz 81-letnia lekarka. Zamiast w szpitalu pan Andrzej wylądował w izbie, bo przecież według dokumentacji „zbadała" go pani doktor. Rzeczywistość okazała się mniej papierowa. Pan Andrzej został rzucony na łóżko jak worek z ziemniakami. Monitoring to pokazał. Umarł niepostrzeżenie, bez pomocy. Sekcja wykazała cztery promile. Śmiertelna dawka. W normalnym kraju wzięliby go na oddział toksykologii. Dostałby kroplówkę, tlen, miałby kaca – ale przeżyłby.

W Pile to nie był pierwszy zgon. Wcześniej dwóch się powiesiło. Nikt nie odpowiadał. W Lublinie padł pan Grzegorz. Mimo czterech promili lekarz uznał, że wszystko gra. W Łodzi było bicie, znęcanie, dokumentacyjne kłamstwa. Raport wykrywaczy tortur nazwał to „praktykami naruszającymi zakaz stosowania tortur". Z łódzkiej izby pacjenci wychodzili upokorzeni, czasem nie wychodzili wcale. Kamery pokazywały, jak leżą nago, bici, ignorowani. Dokumentacja mówiła, że „spokojni, pod obserwacją".

Wrocław. Dmytro Nikiforenko. Ukrainiec, który nie popełnił żadnego przestępstwa. Trafił do izby wytrzeźwień po awanturze w autobusie. Nie był agresywny. Mimo to – jak orzekł sąd – przez 14 minut był duszony przez funkcjonariuszy i personel. Sąd nie miał wątpliwości, że „doszło do tortur". Pracownicy nie ponieśli żadnych konsekwencji przez dwa lata. Dopiero po medialnej presji ruszyły procesy. Dmytro zmarł, bo był obcy. Ale mógł być każdym.

Są też przypadki bez nagłówków. Katowice, 37-letni mężczyzna zmarł w izbie po upadku z łóżka. Nie miał poduszki. Warszawa – 61-latek znaleziony martwy na porannej zmianie, mimo że nocny personel „nie zauważył nic niepokojącego". Gorzów, Bydgoszcz, Rzeszów – wszędzie historie, które można skleić w jedną opowieść o publicznym miejscu, gdzie człowiek przestaje być człowiekiem. Gdzie przemoc udaje procedurę. A cisza – opiekę.

Doba promilowa

Samorządy, które jeszcze prowadzą izby, liczą każdy grosz. Bo prowadzenie wytrzeźwiałek to czarna dziura finansowa. Roczne koszty? Nawet milion złotych. Dochody? Marne. Nawet, jeśli co 10. pacjent zapłaci, to pieniądze znikają w kosmicznym deficycie. Według danych z raportów NIK w niektórych miastach wskaźnik ściągalności opłat wynosi 5–8 proc. Reszta to straty. Dochodzenie roszczeń kończy się umorzeniem lub bezskuteczną egzekucją komorniczą. Nawet rekordziści – odwiedzający izbę 100 razy do roku – są bezkarni finansowo.

Przykład Piły, gdzie po śmierci pana Andrzeja izbę zamknięto, to tylko symbol. Oficjalnie – nieopłacalność. Faktycznie – kompromitacja. A przecież samorządy dostają tzw. korkowe – prawie 900 mln zł rocznie. Co robią z tą kasą? Na pewno nie wyposażają izb w sprzęt i ludzi. Według danych Ministerstwa Zdrowia z 2024 r. mniej niż 2 proc. pieniędzy z korkowego trafia na leczenie uzależnień. Reszta? Remonty stadionów, imprezy plenerowe, „wydarzenia profilaktyczne". A w izbach dalej nie ma nawet ciśnieniomierza.

W Krakowie pobyt kosztuje 437 zł, w Warszawie podobnie. Maksymalnie można skasować 453,57 zł. To cena hotelowa, ale warunki – takie sobie. Statystyki pokazują, że ponad 90 proc. izb nie ma stałego lekarza w nocy. W wielu przypadkach to sanitariusz podejmuje decyzję, czy pacjent potrzebuje pomocy medycznej.

Samorządy kombinują. W Bytomiu i Gliwicach izby miały zniknąć. Nie zniknęły tylko dlatego, że RPO zaczął zadawać pytania. Inne miasta je zamknęły po cichu. Część połączyła funkcje z noclegowniami. W Białymstoku przekształcono izbę w „punkt interwencji kryzysowej". Nikt nie wie, co to znaczy, ale taniej brzmi. A przecież to absurd. Instytucje o niejasnym statusie, z wysokimi kosztami, brakiem skuteczności i realnej misji. Ich jedynym atutem jest „tradycja".

A jak nie ma izby, to policja pakuje nietrzeźwych do cel zatrzymań. Bez opieki medycznej, bez odpowiedzialności. Czasem na SOR. Efekt? SOR-y zatkane, policja zawalona, nikt nie chce odpowiadać. Tylko w 2023 r. na SOR-ach odnotowano ponad 150 tys. przypadków osób w stanie upojenia alkoholowego. Część z nich to pacjenci „z braku izby". Część – efekt decyzji administracyjnych.

Warszawa i Kraków przerzucają się statystykami. Rekordziści wracają 100 razy w roku. Dla niektórych to drugi dom. Tyle że każdy pobyt kosztuje. A samorządy, zamiast systemowej reformy uprawiają księgowość kreatywną. Robią z izb „projekty społeczne", pozorując aktywność.

Wiara w cud zakazu

Najtragiczniejsze w izbach nie są pieniądze. Najtragiczniejsze są trupy. Pan Andrzej. Pan Grzegorz. Dmytro. Ostatnio – 50-latek z Chorzowa. Zgony w miejscach, które z definicji mają być bezpieczne. Raport RPO z 2022 r. mówi wprost: „obecny model izb wytrzeźwień nie chroni życia, nie zapewnia standardów opieki i generuje ryzyko systemowego naruszania praw człowieka".

Minister zdrowia pamięta o izbach raz w roku. Podpisuje waloryzację opłaty. Sejm ostatnio obradował nad tym, by można było zatrudniać w izbach ratowników. Przegłosowano, że nie. Nie, bo „to nie szpital". A że człowiek umiera, to wina promili, nie systemu. W komisjach poselskich nikt nie wnosi interpelacji. W ministerstwach nikt nie pisze projektów. Bo temat jest zbyt wstydliwy i zbyt skomplikowany.

A przecież sprawa jest oczywista: albo tworzymy sieć miejskich detoksów, ze sprzętem, lekarzami, szpitalnym statusem, albo likwidujemy izby i przekierowujemy nietrzeźwych do opieki doraźnej. Niemcy mają tzw. trzeźwialnie szpitalne łączące opiekę medyczną i interwencję kryzysową. Czechy postawiły na ambulatoryjne detoksy z zespołem interwencyjnym. Norwegowie wprowadzili mobilne punkty interwencji dla osób nietrzeźwych. My tkwimy w PRL.

Bo politycy wolą udawać sprawczość. Sejm pochyla się nad zakazem sprzedaży alkoholu po godz. 22.00. Albo nad zakazem reklam. Albo nad tubkami z wódką. Komisje obrabiają projekty o smakowych piwach, bo „młodzież sięga". Ministerstwo edukacji tworzy kampanie.

A izba wytrzeźwień to nie temat na kampanię. To temat na reformę. Na ustawę. Na odwiedziny ministrów zdrowia i sprawiedliwości. A jeszcze lepiej – ministra finansów.

Ale czy ktoś z nich się tam kiedyś pojawił? Czy zna zapach porannej sali z trzynastoma cichymi odsypiaczami? Czy widział monitoring, na którym pacjent nie oddycha przez siedem godzin? Czy rozmawiał z sanitariuszem, który zamiast defibrylatora ma rękawiczki? Czy zapytał, ile razy sanitariusz wzywa karetkę, zanim przestanie próbować?

TOMASZ BOROWIECKI

Miejska izba tortur

Pijany pacjent to śmieć

Łodzianie lubią żartować, że naprzeciw Urzędu Miasta Łodzi znajduje się ulubiony resort urzędującej prezydent Hanny Zdanowskiej – knajpa o nazwie Ministerstwo Śledzia i Wódki. Śmiech skończy się jednak wtedy, gdy ktoś po wyjściu z owego ministerstwa trafi do miejskiej izby wytrzeźwień przemianowanej na Zakład Diagnostyczno-Obserwacyjny Miejskiego Centrum Terapii i Profilaktyki Zdrowotnej w Łodzi. Tam bowiem, jak ustalił rzecznik praw obywatelskich, na pijanych nie czeka ani opieka, ani troska, a tylko przemoc i poniżenie.

Raport RPO i Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur po kontroli w Łodzi nie pozostawia złudzeń: w izbie stosuje się praktyki, które spełniają definicję tortur. Personel, zamiast pilnować bezpieczeństwa i zdrowia nietrzeźwych, traktuje ich jak śmiecie. W dokumentach znajdziemy przykłady, które trudno czytać bez obrzydzenia: pracownik izby wciskał pięść w twarz unieruchomionej osoby, zaciskał palce na jej policzkach, po czym szarpał głową na boki. Po przejrzeniu monitoringu stwierdzono z dużym prawdopodobieństwem, że pacjenci byli m.in. zastraszani, bici, szarpani i popychani. Ponadto odnotowano przypadki, gdy pacjenci przebywali w pomieszczeniach placówki nago na widoku innych osób. W znęcaniu się nad pacjentami brali udział także policjanci.

Kolejny problem to nadużywanie pasów unieruchamiających. Zamiast chronić przed samookaleczeniem, stawały się narzędziem dodatkowej kary – zaciśnięte tak mocno, że prowadziły do drętwienia kończyn. RPO odnotował przypadki, w których poszkodowani nie mieli żadnego kontaktu z lekarzem, a dokumentacja obrażeń była niepełna lub w ogóle nieprowadzona. Skargi zatrzymanych pozostawały bez echa.

Trzeba przypomnieć: osoby trafiające do izby nie są przestępcami. Ich przewinieniem bywa, że wypiły za dużo i nie miał ich kto odprowadzić do domu. Państwo powinno zagwarantować im podstawowe prawa: bezpieczeństwo, badanie lekarskie, poszanowanie godności. Tymczasem łódzka izba zamienia się w miejsce, gdzie nietrzeźwy staje się bezbronną ofiarą. RPO używa wprost terminu „nieludzkie i poniżające traktowanie".

Co gorsza, raport RPO powstał po złożeniu kontrolnej rewizyty. Placówkę kontrolowano bowiem w 2023 r. i po tej kontroli zarekomendowano jej zaprzestanie stosowania nadmiernej siły, właściwe dokumentowanie obrażeń i zapewnienie opieki medycznej. To były zalecenia oczywiste – minimum przyzwoitości. Mimo to placówka i władze miasta olały je ciepłym moczem. Nietrzeźwi wciąż trafiają do izby, gdzie obowiązuje prawo pięści.

Gdy raport ujrzał światło dzienne, miasto wytoczyło klasyczną linię obrony. Stanowczo sprzeciwiło się utożsamianiu działań wynikających z obowiązujących procedur i przepisów prawa z torturami. Takie określenia są krzywdzące wobec pracowników, którzy codziennie mierzą się z trudnymi i niebezpiecznymi sytuacjami, ratując życie i zdrowie osób doprowadzanych do placówki. Zdaniem miasta nie było przykładów znęcania się psychicznego czy fizycznego nad pacjentami. Absolutnie nie, personel placówki stosował się do przepisów prawa, jak wszystkie tego typu placówki w Polsce – stwierdził Jacek Tokarczyk, rzecznik prezydent Zdanowskiej.

Dla porządku warto przypomnieć, że instytucja izb wytrzeźwień, nawet pod innymi nazwami, jest anachronizmem. Powstała w czasach, gdy problem pijaka na ulicy rozwiązywano pałką, a nie pomocą społeczną czy terapią. Choć minęły dekady, duch tamtych lat nadal unosi się nad łódzką izbą.

W teorii miejska wytrzeźwiałka miała być placówką medyczną. W praktyce jest policyjny areszt bez kodeksu postępowania karnego. Z tą różnicą, że aresztowany ma więcej praw niż pijany obywatel odstawiony na izbę.

W innych krajach rozwiązano to inaczej. W Finlandii czy Czechach osoby nietrzeźwe trafiają na specjalne oddziały szpitalne, gdzie zajmują się nimi pielęgniarze i lekarze. W Łodzi pacjent zamiast kroplówki dostaje pasy, zamiast diagnozy – kopa na łeb.

Postawa władz miasta nie nastraja optymistycznie. Chyba że – rozważam czysto teoretycznie – Zdanowska trafi kiedyś na tę izbę jako pensjonariuszka. Wypada tego jej życzyć, choć przecież bogatym i ustosunkowanym to nie grozi.

DAMIAN DUSZCZENKO

REKLAMA



eprasa.pl b28e03b806

W wartkim nurcie

Jeśli nie znacie Klaudii Zwolińskiej, koniecznie powinniście ją poznać.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeszcze żadnej kobiecie na naszym globie nie udało się podczas jednych mistrzostw świata w kajakarstwie górskim zdobyć dwóch złotych i brązowego medalu. Dokonała tego właśnie Klaudia Zwolińska w australijskim Penrith.

W Penrith z powodu kontuzji nie startowała dotychczas największa gwiazda kajakarstwa górskiego Australijka Jessica Fox, która także podczas jednych mistrzostw świata zdobyła dwa złote medale, ale bez brązowego – dokonała tego także podczas igrzysk olimpijskich. Nasza reprezentantka dorzuciła do dorobku brązowy medal w najbardziej widowiskowej konkurencji – w crossie. Przypomnijmy, że Klaudia nie jest debiutantką w górskim kajakarstwie. Podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu wywalczyła srebrny medal w konkurencji K-1.

– To było coś niesamowitego – mówiła do mikrofonu Klaudia po zdobyciu drugiego złotego medalu. – Dwukrotnie wysłuchać Mazurka Dąbrowskiego na drugiej półkuli, w ojczyźnie Jessiki Fox. Wiedziałam, że jestem dobrze przygotowana, ale wyniki zaskoczyły nawet mnie. Po wygraniu konkurencji C-1 miałam przed sobą mój koronny dystans K-1. Doszło więc także zdenerwowanie, bo nie wypadało tam przegrać przejazdu.

Jak po sznurku

Został jeszcze cross. Najbardziej – jeśli można tak powiedzieć – brutalna konkurencja. Klaudia jest indywidualistką, potrafi być perfekcyjna, gdy sama o wszystkim decyduje. W starciu z rywalkami bywa inaczej. Polka przyznaje, że po prostu wyszarpała ten brązowy medal. Zaskoczył ją samą bardziej niż dwa wcześniej zdobyte złota.

Trener reprezentacji Jakub Chojnowski nie krył wzruszenia: – To był trudny sezon, ale zakończony wspaniałym sukcesem.

Klaudia napisała historię nie tylko polskiego, ale światowego kajakowego slalomu. Widać, że się rozpędzała, bo półfinały były spokojne, ale w finałach pojechała jak po sznurku. Patrzyło się na to niesamowicie.

26-letnia Zwolińska pochodzi ze wsi Kłodne na nowosądecczyźnie, studiuje w Wyższej Szkole Biznesu – National Louis University w Nowym Sączu, jest szeregowym Wojska Polskiego. Należy do licznej grupy sportowców-żołnierzy. Sama co prawda za srebrny medal olimpijski dostała 200 tys. zł, ale licznym jej koleżankom i kolegom nie udaje się sięgać po takie premie. Muszą z czegoś żyć, a wojsko daje okazję do zapełnienia lodówki produktami, nie obciążając zanadto bieganiem z karabinkiem Beryl po poligonie. Nie myślcie tylko, że to jest jakieś polskie oszustwo, w wielu krajach armia pomaga swoim wyczynowcom, a jak nie armia – to policja. Na dobrą sprawę zawsze można do tego dopasować zgrabną teorię, bo i wojsku i policji zależy na krzepkich młodych ludziach, którzy przykład mogą brać ze swoich umundurowanych koleżanek i kolegów sportowców.

O życiu prywatnym naszej mistrzyni nie wiem za wiele, prócz tego, że podczas wywiadów lubi wplatać słówko „kurde", co akurat mi się podoba, bo nie jestem purystą językowym.

Rozstrzygnięcie plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na 10 najlepszych polskich sportowców nastąpi dopiero 10 stycznia przyszłego roku. Niektórzy kibice, wśród nich ja, już zastanawiają się jednak, kto wygra. Iga Świątek jako pierwsza Polka w historii wygrała Wimbledon, Bartosz Zmarzlik po raz szósty został mistrzem świata na żużlu, a Aleksandra Mirosław mistrzynią w sprincie na stromej ścianie, bijąc przy okazji własny (już nawet nie wiem po raz który) rekord globu, ale o Klaudii Zwolińskiej nie wolno nam zapominać. Oczywiście do końca roku mamy jeszcze sporo czasu, wiele może się wydarzyć, ale myślę, że między tą czwórką podzielą się głosy biorących udział w plebiscycie.

Dziedzictwo ludów północy

Kajakarstwo w pewnym sensie podobne jest do kolarstwa. Miliony jeżdżą na rowerze i pływają kajakami. Amatorzy rowerowych niedzielnych przejażdżek i wakacyjnych spływów kajakowych różnią się jednak od wyczynowców tak jak ja od Mickiewicza, choć łączy nas słowo pisane.

Kajak wywodzi się od ludów dalekiej północy zwanych Eskimosami dopóty, dopóki nie uznano tego słowa za obraźliwe i nie przemianowano ich na Inuitów. Pewne jest, że lekką łódkę napędzaną wiosłem z dwoma piórami trzymaną przed sobą, nieopartą o żadną część pokładu, wymyślili Eskimosi, zanim jeszcze zostali Inuitami. To im zawdzięczamy kajaki i sportowe konkurencje oznaczane literką „K".

Kanu natomiast jest wynalazkiem Indian północnoamerykańskich i są to również lekkie łódki, ale napędzane jednym wiosłem. Dały początek konkurencjom oznaczanym literą „C", od międzynarodowej nazwy łódki canoe.

Współczesne kajakarstwo bardzo z grubsza dzieli się na pływanie po otwartych akwenach i po górskich rzekach. Zatrzymajmy się przy kajakarstwie górskim, bo bohaterką tego tekstu jest Klaudia Zwolińska. Odmian kajakarstwa górskiego jest sporo, włącznie z akrobacją; każdy przejazd zawodnika jest tam oceniany i punktowany przez sędziów w zależności od trudności i dokładności wykonania ewolucji. Najważniejsze są jednak slalomy na kanadyjkach i na kajakach. Liczy się w nich czas przejazdu (uwaga: kajakarze, podobnie jak wioślarze, nie pływają, ale jeżdżą), powiększany o punkty karne, którymi karze się zawodników za dotknięcie bramki. Z góry określone jest, które bramki należy pokonywać przodem, a które tyłem. Bramki ustawia chyba ktoś złośliwy tak, aby ich pokonanie było najtrudniejsze i wymagało najwięcej siły ze względu na wyjątkowo silny i zdradliwy w tym miejscu nurt.

Najmłodszą dyscypliną sportowego kajakarstwa górskiego jest cross, ten w którym Klaudia Zwolińska zdobyła trzeci, brązowy medal mistrzostw świata. O ile w slalomach startuje się pojedynczo, o tyle w crossie cztery zawodniczki lub zawodnicy jednocześnie wystrzeliwani są z wysokiej platformy startowej do wody i walczą, nie unikając bezpośrednich kontaktów. Dozwolone jest spychanie wiosłem rywala w celu utrudnienia mu pokonywania przeszkód. Rękoczyny są natomiast zabronione, bo wiosła przez cały czas rywalizacji muszą być trzymane oburącz.

Żeby jeszcze utrudnić życie kajakarkom i kajakarzom, w crossie obowiązkowe jest wykonanie tzw. eskimoski przed osiągnięciem mety, czyli obrót wzdłuż osi podłużnej kajaka, tak że głowa znajduje się pod wodą, i wychyla z drugiej strony. Każdy wyścig, podobnie jak w żużlu, trwa ok. minuty i dostarcza adrenaliny nie tylko startującym, ale także widzom. Oglądałem cross w telewizji podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu więc wiem, o czym piszę.

Zwycięzca każdej serii przechodzi dalej – i tak aż do biegu finałowego. Z tego wniosek, że w tej konkurencji nie można sobie pozwolić na sekundę słabości lub dekoncentracji. Jest to także dość niebezpieczna konkurencja, ale regulamin przewiduje wiele zabezpieczeń, a wiosła przed startem są dokładnie sprawdzane, żeby nie były ostre.

W naturze i na sztucznych torach

Może zdziwię niektórych Czytelników, ale kajakarstwo górskie ma swoją niewyczynową odmianę. Jest to jeden z tzw. sportów ekstremalnych, gdzie nie liczy się rywalizacja, ale pokonywanie własnego strachu i ograniczeń. Amatorzy, czasem grupy amatorów, wybierają się nad wyjątkowo trudne akweny obfitujące w progi, wiry, nawet wodospady. Do pokonywania ich wykorzystują nie tylko kajaki, ale także pontony.

Do spływania kajakiem z wodospadów ekstremalnym sportowcom nie wystarczą występujące naturalnie na rzekach. Hiszpan (chyba wolałby, żeby nazywać go Katalończykiem) Aniol Serrasolsels i Solà dzierży rekord świata. Wynalazł wyjątkowy lodowy wodospad w Arktyce wys. 20 m i spłynął nim kajakiem. W Chile obrał za cel 25-metrową trasę ze szczytu ośnieżonego wulkanu przez wodospad, podczas pokonywania którego z prędkością ponad 100 km/godz. wykonał jeszcze dwie figury akrobatyczne.

Klaudio – to apel do naszej multimedalistki mistrzostw świata – nie próbuj tego robić. Jeszcze długo chcemy się cieszyć twoimi medalami, a na horyzoncie przecież igrzyska olimpijskie w Los Angeles.

W Polsce kajakarstwo górskie uprawiać można na rzekach: Białce, Kamiennej i na Dunajcu, o którym przyjdzie mi napisać coś więcej. Podobno także na Pisie, w co wątpię, bo troszkę znam tę rzekę, chyba że na krótko spiętrzą jej nurt.

Tak naprawdę wyczynowcy startują już niemal wyłącznie na sztucznych torach, zbudowanych specjalnie dla tej dyscypliny. Coś mi się wydaje – choć tego nie jestem pewien – że pierwszy tego typu obiekt wzniesiono na potrzeby igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 r. Ambicją gospodarzy tej imprezy było, aby wszystkie dyscypliny (kajakarstwo górskie było dyscypliną pokazową) rozgrywano w pobliżu stolicy Bawarii, a na przepływającej przez miasto Izarze można robić różne rzeczy, ale nie rywalizować w kajakarstwie górskim. Pamiętam ochy i achy, jakie monachijski sztuczny tor budził na świecie. Więc chyba jednak był pierwszy.

Kraków – mekka kajakarzy

Dzisiaj nie powinniśmy się czegokolwiek wstydzić. Mamy w kraju trzy sztuczne tory kajakowe, a najmłodszy z nich, w Krakowie, to prawdziwa perełka.

Tor w Krakowie należy do trzech najnowocześniejszych w świecie, obok Madrytu i Sydney. Jako jeden z ośmiu uzyskał oficjalną rangę centrum szkolenia przyznaną przez międzynarodową federację (ICF). Ma długość 320 m, szerokość 12–14 m. Zaprojektował go znany polski architekt i rzeźbiarz Andrzej Getter. To daje pewność, że obiekt jest piękny, ale dla kajakarzy efekty wizualne nie są najważniejsze.

Budynek zaplecza treningowego wyposażony jest w salę odnowy biologicznej, gabinety fizjoterapeutów, saunę, siłownię. W części hotelowej, w której są miejsca dla 52 osób, znajduje się restauracja. Co w niej serwują, nie wiem, bo nie miałem przyjemności tam gościć. Od kiedy za sprawą neurologicznej przypadłości mam kłopoty z chodzeniem, zwracam zawsze uwagę na przystosowanie obiektów dla potrzeb osób niepełnosprawnych. Krakowski tor ma wszystko, co pod tym względem niezbędne, i trudno, żeby było inaczej, skoro odbywają się tam zawody i treningi parasportowców. Jest też coś dla niesportowców wyczynowych. W wartkim nurcie organizowane są dla amatorów spływy pontonowe. Na dobrą sprawę tylko wędkarze mogą trochę kręcić nosem, bo nie słyszałem, żeby można tam było łowić pstrągi na sztuczną muchę.

Klaudia Zwolińska oraz jej koleżanki i koledzy specjalizujący się w kajakarstwie górskim nie muszą więc jeździć za granicę, żeby dobrze przygotowywać się do zawodów. Mają szczęście, że urodzili się w tej epoce.

Tratwa, Dunajec, flaszka i góralki

Proponuję teraz małą wycieczkę w czasie. Cofnijmy się do lat 70. minionego wieku. Byłem młodziutkim dziennikarzem sportowym wysłanym na kolarski Małopolski Wyścig Górski. Wspólnie z dwoma redaktorskimi młokosami oraz nestorem naszego zawodu Zygmuntem Weissem, korzystając z wolnego czasu odwiedziliśmy Stefana Kapłaniaka, mistrza świata i medalistę olimpijskiego w kajakarstwie, ale nie górskim, tylko – powiedzmy tak – tradycyjnym. Dla nas był legendą, dla red. Weissa starym znajomym; mówili sobie po imieniu.

Gadaliśmy o wszystkim i o niczym. Kapłaniak miał doświadczenie z górskim nurtem, przepłynął bowiem Dunajcem pod prąd trasę z Nowego Sącza do Nowego Targu, bagatela – 118 km. Zajęło mu to pięć dni. Opowiadał, jak zdradliwą rzeką jest Dunajec, a szczególny nacisk kładł na kamienie, które bywają bardzo śliskie.

Opowieść o Dunajcu tak nas zafascynowała, że resztę wolnego czasu postanowiliśmy spędzić w jego wartkim nurcie, płynąc oczywiście nie kajakami, ale tratwą, która stanowi atrakcję turystyczną przełomu rzeki przez pasmo pienińskie. Żeby nam się nie nudziło, zabraliśmy na pokład flaszkę wódki i trzy wesołe góralskie dziewczyny. Ponieważ na tratwie trzęsło i nie dawało się napełnić kieliszków bez rozlewania cennego napoju, poprosiliśmy flisaka, żeby na jakiś czas zatrzymał się przy brzegu.

Wspięliśmy się wszyscy na strome wzniesienie i cieszyliśmy się wspaniałościami przyrody. W pewnym momencie red. Weiss – jak później nam opowiadał – doszedł do wniosku, że nas jest trzech, góralki są także trzy, on jest jak gdyby piątym kołem u wozu. Zaczął więc schodzić po stromiźnie do tratwy. Nagle pośliznął się i nie mógł zatrzymać, choć łapał za wszystkie krzaki, jakie znalazły się w zasięgu jego ręki; te jednak się łamały. Przez cały czas miał w pamięci słowa Stefana Kapłaniaka o śliskich kamieniach w Dunajcu. Na samym dole wykonał więc rozpaczliwy skok do tratwy, ale chybił i wpadł do wody.

– A najgorsze jest to – żalił się później – że wy macaliście góralki, a ja musiałem się suszyć.

To było chyba moje jedyne doświadczenie z kajakarstwem górskim, proszę więc wybaczyć, że nie zagłębiam się w techniczne szczegóły tej dyscypliny. Mogę tylko dodać, że podczas wspomnianej przygody nikogo nie macaliśmy, żartowaliśmy tylko z góralkami i na koniec ostrożnie sprowadziliśmy panny do tratwy, w której czekał na nas red. Zygmunt Weiss w samych kalesonach.

Kurczę, jak sobie to teraz przypomniałem, stwierdziłem, że kiedyś życie dziennikarza sportowego nie było wcale takie najgorsze. Okazji do śmiechu nam nie brakowało.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 8.10.2025 r.

eprasa.pl b28e03b806

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Spod dywanu wypełzła Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Pociągnęła truflą nosową, potrząsnęła kufą, zaczęła się intensywnie ślinić.

– Chcę być wicepremierką… – zaszczekała, a jej ślepia zabłysły pożądaniem.

Spodziewanych owacji stada nie było, bo nie było żadnego stada. Łeb wystawił tylko Paweł Śliz.

– Brawo! – warknął, a fałda nosowa mu nie zadrżała.

– …i liderką partii – dokończyła Pełczyńska-Nałęcz.

Zakotłowało się pod dywanem. Nikt by nie przypuszczał, że zmieści się tam aż tyle buldogów. Oraz jedna Mucha. Joanna Mucha.

– Hau, hau, ja bym chciała być liderką – szczeknęła, strzygąc trójkątnymi uszami.

Śliz pokazał kły w szyderczym uśmiechu.

– Jeśli ty, to i ja – zawył.

– A dlaczego wy? – zapytał Ryszard Petru, a sierść na grzbiecie błyszczała mu jak psu jaja.

Był maści płowej podpalanej. Stał na dywanie pewnie, patrzył zuchwale, zad trzymał wysoko i pewnie.

– Ja będę i wicepremierem, i prezesem partii – zaszczekał.

– Ty? – Pełczyńska-Nałęcz aż przysiadła z wrażenia. – Byle kundel nie może zostać prezesem!

– Jestem takim samym buldogiem jak ty – odszczeknął się Petru. – A prezesem będę lepszym niż Szymon.

Buldogi wpierw zamilkły, a potem padły na dywan i zaczęły się tarzać ze śmiechu.

– Każdy będzie lepszy niż Szymon – kłapnęła pyskiem Mucha.

– Nie każdy – nieśmiało zaprotestował Michał Kobosko, buldog rasy europejskiej.

Jego krajowi kuzyni polityczni obrzucili go wrogim wzrokiem.

– Może najpierw wybierzmy prezesa, a dopiero potem wicepremiera? I odpowiedzmy sobie na pytanie, czy obie funkcje powinien sprawować ten sam buldog – pisnął Kobosko.

– Cóż to za pomysł! – obsobaczyła go Pełczyńska-Nałęcz.

– Głupi! – szczeknął Petru.

– Idiotyczny – dodała Mucha.

– Debilny – zgodził się Śliz.

– A ja uważam, że dobry – odezwała się Paulina Hennig-Kloska, która ostatnia wyszła spod dywanu. Otrzepała się i bez lęku spojrzała na Pełczyńską-Nałęcz.

Ani ona, ani nikt inny nie zaskomlał. Tylko Petru czujnie rozejrzał się w poszukiwania drzewka do olania.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z Paryża. **JOANNA SENYSZYN** nie ma czasu na turystykę, bo kończy książkę o sobie.

Senyszyn: – I co w tym Paryżu?
Wołk-Łaniewska: – Beret sobie kupiłam…

– Jaki znowu beret?!?
– Różowy.

– A dlaczego różowy?
– A co za różnica, i tak nie będę go nosić.

– Jest w tym jakaś logika, ale bardzo szczególna, choć przynajmniej wyjaśnia, skąd twoje problemy z oszczędzaniem. Coś jeszcze?
– Nic.

– Nie pytam, co jeszcze niepotrzebnego kupiłaś, tylko co robiłaś?
– Uczciwie, z ręką na sercu: spędziłam dwa dni na konferencji antywojennej, piszę o niej w tym numerze. Była konferencja, a potem wiec w Dôme de Paris, takim paryskim Torwarze, na 4,6 tys. osób – i było pełno. A nikt tych ludzi autobusami nie zwoził, nawet bilety musieli kupić.

– Po ile?
– Po 5 euro, ale to nieważne.

– Bo ja wiem, czy nieważne? 5 euro razy 4,6 tys. to 23 tys. euro. Za to można już godną imprezę zorganizować…
– I była godna, co więcej – absolutnie fascynująca. Więc 70 proc. mojego pobytu w Paryżu przesiedziałam na sali, a potem musiałam jeszcze z przyjaciółkami iść do kabaretu, więc na nic innego poza kupieniem beretu nie było czasu.

– Przez siedem lat miałam podobnie, bo jako przedstawicielka sejmu do Zgromadzenia Unii Zachodnioeuropejskiej trzy, cztery razy w roku latałam służbowo do Paryża. I nawet raz też kupiłam francuski beret mojemu mężowi. Świetnie w nim wyglądał i lubił nosić. Ale zawsze było za mało czasu na wszystko. Dlatego zaraz po zakwaterowaniu w hotelu wsiadałam w metro i jechałam na La Défense, żeby spojrzeć na Paryż z dachu Wielkiego Łuku. Widok zapierał dech, bo ponad stumetrowa budowla oddana do użytku w 1989 r. jest na przedłużeniu Paryskiej Osi Historycznej zaczynającej się od Luwru, a kończącej Łukiem Triumfalnym. Byłam jedną z ostatnich podziwiających, bo w 2010 r. po awarii windy tarasy widokowe zamknięto. Ale powiedz, jak ci się podobał kabaret, bo ja nie jestem miłośniczką paryskich. W latach 90. byłam w Moulin Rouge i się wyleczyłam.
– Umiarkowanie. Ten się nazywa La Nouvelle Eve i jest kameralnym, wyłożonym pąsowym pluszem lokalem na jakieś 100 osób, nie wielkości stadionu narodowego jak Moulin Rouge. Ale za to na scenie same solistki… Zaraz mi się przypomniała opowieść Krysi Mazurówny, jak w latach 70. z Polski przyjechała jakaś jej koleżanka, która nigdy nie miała nic wspólnego z tańcem, była higienistką dentystyczną albo kimś takim, za to miała strasznie długie nogi. Więc jak Krysia dowiedziała się, że w Casino de Paris…



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Gdzie Mazurówna była prawdziwą solistką, nie taką panienką z chórku, co nie umie równo z innymi nogi podnosić…
– Dokładnie. Więc jak Krystyna się dowiedziała, że jest nabór na panny z długimi nogami, to wzięła tę koleżankę na chatę i przygotowała do castingu. Otóż ustawiła wszystkie lampy w domu tak, żeby jej świeciły w oczy i kazała schodzić po schodach z szerokim uśmiechem, gapiąc się w te oślepiające światła. A w Casino opowiedziała, że znajoma ma za sobą trzy lata warszawskiej szkoły baletowej, tylko nie skończyła, bo wiecie, system jej nie pozwolił. I potem ta kobita, wytrenowana przez Krysię na schodach do kibla, śpiewająco przeszła casting, bo tylko ona jedna wiedziała, że trzeba się gapić w światła i nie mrużyć oczu… A reżyser i choreograf mówili z podziwem: „No tak, warszawska szkoła baletowa, to jednak klasa jest”… W każdym razie te panienki z Nouvelle Eve raczej nie kończyły warszawskiej szkoły baletowej. Ani żadnej innej. Ale miło było. Wiem, że to pospolite, ale lubię Paryż. A co u ciebie? Jak dzieło postępuje?

– Nie chciałam wywiadu rzeki, to mam za swoje, bo muszę pisać sama. Teraz jest już etap szlifowania i dopisywania części o obecnych przyjaciołach i znajomych. Tego się od początku bałam, bo – jak obie wiemy – ludzie są delikatni i łatwo ich urazić. Na zachętę zacytuję fragment wstępu: „Dla katoli, kiboli, nazioli byłam Żydówką, bo dla nich Żydami są wszyscy, których nienawidzą i chcieliby się pozbyć z Polski. Antyaborcjoniści żałowali, że matka mnie nie wyskrobała, co nie raz i nie dwa mówili, dowodząc, że w głębi swoich niemytych dusz są zwolennikami usuwania ciąży. Pisowskie trolle pisały o mnie: czerwona świnia, antypolska sucz, koszerna menda, lewacka zaraza, komusze ścierwo, skrzecząca idiotka, szmata, załgana stalinowska-bolszewicka małpa, żydokomusza kurwa, maciora oderwana od koryta. Im głośnej szczekali, tym bardziej utwierdzali mnie w słuszności tego, co robię…”.
– I popatrz, jak to się zmieniło. Teraz już wszyscy kochają imperatorkę.

– Prawie wszyscy, ale dosyć o mnie. Oglądałaś spotkanie Trumpa z generałami?
– Owszem. Byłam zachwycona. Demencja Trumpa jest już oczywista dla wszystkich, a jego monolog na temat „N-word” był absolutnie doskonały…

– To może wyjaśnimy, że „N-word” – słowo na „n” – oznacza najbardziej rasistowskie określenie osoby czarnoskórej…
– Tobie nie wypada, ale powiem: to jest po prostu „czarnuch”. *Nigger* po amerykańsku, a *nigga* w slangu afroamerykańskim, bo Afroamerykanom wolno. W każdy razie Trump wygłosił długi i dość zaskakujący monolog na temat słowa na „n”, co rozwinął jako „nuklearne”. A potem dodał, odkrywczo, że są dwa takie słowa i żadnego nie można używać, *ale, szczerze, jakby doszło do użycia, mamy więcej niż ktokolwiek inny, lepszych, nowszych*… Pytanie, czy chodziło mu o pociski nuklearne, czy o czarnych Amerykanów, pozostaje otwarte.

– Ty sobie żarty robisz, a mnie przeraził jego monolog o wojnie z miastami takimi jak San Francisco, Chicago, Nowy Jork i Los Angeles. Trump chce, żeby to były poligony szkoleniowe dla amerykańskiej armii.
– A ja się go nie boję. Wdzięcznie skomentował to mój ukochany John Oliver okładką książki: „Dziadek kiedyś śpiewał: jak rozpoznać demencję u bliskich i kiedy się pożegnać”… Chciałam nawet kupić taką książkę – niestety, wygląda na to, że Oliver ją wymyślił. Ale w punkt. Za to coś niezwykle ciekawego opowiedziała ostatnio Alexandria Ocasio-Cortez – gwiazda młodej lewicy amerykańskiej z frakcji Berniego Sandersa. Otóż odciągnęła ona na bok jednego z republikańskich kongresmanów i zapytała go prywatnie, jak on może głosować za ustawą, która pozbawi finansowania działające w ramach Mediacaid wiejskie szpitale, skoro w jego okręgu są dwa takie szpitale, na których opiera się opieka medyczna jego – w większości ubogich – wyborców. I wiesz, co jej odpowiedział?

– Nawet nie próbuję zgadnąć.
– Otóż powiedział: „Ale ja w to nie wierzę”. I jeszcze dodał, że on wie, że demokraci muszą mówić, że te szpitale padną, żeby nastukać sobie punktów u wyborców. I to jest absolutnie fascynujący przykład tego, jak dwie walczące formacje żyją w dwóch różnych już nie krajach, ale światach… I nie mówię tu o bogatych i biednych – bo to jest absolutnie oczywiste – ale o tych, co wybierają sobie rzeczy, w które wierzą i w które nie, kierując się kluczem politycznym.

– To zupełnie jak u nas…
– No właśnie. Jak jesteś za Tuskiem, to nie możesz wierzyć, że Nowak brał łapówki, bo skoro Ziobro powiedział to na komisji ds. Pegasusa, więc to nie może być prawda…

– A jak głosujesz na PiS, to musisz wierzyć, że Pegasus był Polsce niezbędny i używano go wyłącznie do ścigania szpiegów i gangsterów.
– A ja głosuję na Senyszyn i mogę sobie wierzyć, w co chcę.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl b28e03b806